Nr. 44. Warszawa, dnia 21 Października (2 Listopada) 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

IRADE SUŁTAŃSKIE.

Treść aktu, wydanego przez Abdul Hamida w d. 16 z. m., jest ciągle jeszcze mityczną. Dosłownego brzmienia owego *irade* nie ogłosił dotychczas ani dziennik urzędowy, ani żadna z prywatnych gazet tureckich. To tylko jawność wydrzeć zdołała z gardła wezyratu, że irade jest. O jego istnieniu zawiadomiono dyplomacyę działającą, a byłby to srogi żart, gdyby ją nawet, w okolicznościach tak poważnych, za nos wodzić chciano zmyślaniem grubego, jakby elementarnego faktu.

Co to jest „irade“? O ile, nie będąc biegłym w sztuce odgadywania konstytucyi sułtanatu, wiedzieć można, jest to pismo odręczne, list sułtana do wielkiego wezyra, objawiający wolę uczynienia, wprowadzenia, wytworzenia czegoś nowego w organizacyi państwa. Sułtan wskazuje zasady; wezyr zastosowanie ich obmyśla. Potem zjawia się zwykle *hatt* w jednej z dwóch odmian swoich; *szeryf* lub *humajun (m)*. Ten hatt dopiero jest prawem uroczyście już promulgowanem i dźwiga na sobie całkowity już urok wielkiej, nieograniczonej, niezgłębionej władzy sułtańskiej.

W obecnym wypadku również po irade zapowiedziano hatt. Na ten akt już wysoce prawodawczy czekała dyplomacya tydzień cały; w końcu dowiedziała się, że hattu nie będzie. Wezyr rozpisał od siebie odezwy, czy też również listy do zarządzających ejaletami, tam, gdzie reformy miały być zaraz wprowadzone — i na tem się skończyło. Ale, jak wprzódy owo irade, tak teraz one listy ukrywają się w cieniu tajemnicy. Opinia, a nawet sama dyplomacya, nie ma żadnej pewności, czy wielki wezyr nakazał to samo, co pod formalnym naciskiem trzech mocarstw działających sułtan zobowiązał się był zaprowadzić w sześciu ejaletach armeńskich. Zobowiązanie to ujął Kiamil w dwa obwieszczenia urzędowo, zamieszczone we wszystkich dziennikach Konstantynopola. Noty te zastępują dotychczas akta prawodawcze, które jakoś z ciemnic władzy sułtańskiej wychylić się nie chcą.

Z pierwszej z tych not, ogłoszonej w d. 17 z. m., dowiadujemy się, że sułtan jegomość w ojcowskiej swojej pieczołowitości statecznie myśli o dobru poddanych swoich i postanowił też obecnie wprowadzić we wszystkich prowincyach ulepszenia, a przedewszystkiem w „Anatolii.“ Kiamil, lękający się nawet wymienić Armenii, uspakaja zaraz stronnictwo staroturecko, iż ulepszenia te nie wykroczą za granice praw już obowiązujących i zastosują się do hatt-i-szeryfu Gjulhane z roku 1839.

W drugiej nocie, z d. 20 z. m., wielki wezyr powtarza obietnice, dane dyplomatom. Wolą sułtana jest, aby odtąd poddani wszelkiego pochodzenia mogli być pociąganymi do służby państwowej i aby odpowiednio do tego stosowane było i prawo. Rozporządził to był już ów szeryf, ale rzeczywistość rozporządziła co innego. Porównał chrześcian z muzułmanami w wielu względach, a między innymi i pod względem zdolności do wiernego służenia sułtanowi, i późniejszy jeszcze humajun, z lutego 1856 r.; ale i tu rzeczywistość zadrwiła sobie z atramentu: upośledzenie doczekało się dni naszych. Prawa tureckie martwieją już pod ręką sułtana. Oto dowiadujemy się z noty, że prawo o zarządzie prowincyonalnym z r. 1871 i art. 1—27 prawa o zarządzie gminnym z r. 1877 mają być wprowadzone — w owych sześciu ejaletach armeńskich — jakby coś nowego. Teraz dopiero Abdul-Hamid wykonanie ich tam zapowiada.

Dalsze obietnice przynoszą nowe atrybucye: radom starszych w *nahjach*, tj. gminozbiorach, złożonych z *kaz* (gmin), sędziom i mieszkańcom chrześcianom, którzy w stosunku liczebnym ludności *wilajetu* (generał-gubernatorstwa, złożonego z *elajetów*) mają być przyjmowani do policyi i żandarmeryi. Przyrzeka sułtan ustanowić inspektorów sprawiedliwości, którzyby czuwali nad szybkiem rozstrzyganiem spraw sądowych i porządkiem w więzieniach, zaprowadzić instytucyę stróżów pól, zapewnić prawidłowe funkcyonowanie komisyj śledczych i moc obowiązującą nowych przepisów o więzieniach. Odtąd żandarmerya będzie eskortowała kurdów, ciągnących z letnich leży na zimowe. Bez pozwolenia na broń i pasportu miły ten lud nie będzie mógł krain armeńskich przebiegać; otrzyma też dla siebie siedziby ostateczne, których nie będzie mógł już samowolnie zmieniać. Kawaleryę ochotniczą (*hamidje*) weźmie sułtan w karby. Podatki ściągać będą albo przełożeni, albo wolnowybrani pełnomocnicy gmin. W każdym *sandżaku* (powiat) funkcyonować ma komisya katastralna, a nad wszystkiemi sandżakowemi jedna wilajetowa. Co rok czterech inspektorów sprawdzi tytuły posiadania własności nieruchomej. Grunt, narzędzia gospodarskie, bydło robocze i zasiewy mają być wolne od zajęcia, tak przez prywatnych wierzycieli, jak przez skarb. Wydzierżawianie dziesięcin pojedynczemi wsiami w wyjątkowych tylko dopuszcza się wypadkach.

Takie są ustępstwa—takie raczej obietnice ustępstw. Ma Turcya czas ich nie spełnić, jeśli spełnić nie chce; ale czy będzie miała jeszcze dość czasu w czyn je wprowadzić przy najlepszej nawet woli, jeśli nie zdobędzie się na nią odrazu i odrazu też nie zabierze się do roboty? Zbliża się dzień chmurny a krwawy. Rzezie, na które patrzymy, rozpoczynają upadek Turcyi.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Po radości, z jaką armeńczycy przyjęli w Erzerumie łaskę sułtańską z d. 17 z. m., krew pod zbójeckim nożem leje się na nowo. Były znowu rzezie w Bajburcie, Zejtunie, Moraszu, Gemudżbadży. W pierwszej z tych miejscowości rzuciło się turectwo na kościół, zbezcześciło go, kogo dopadło, zarzynało, żywcem paliło; liczbę ofiar podają na 150. W Trapezuncie, w dawniejszym jeszcze szale zwierzęcości, padło 560 armeńczyków, a 2,200 znalazło ocalenie tylko dzięki schronieniu do konsulów, tyleż prawie uciekło na morze. Pod Ismidem, nad Bosforem wymordowali Turcy 60 armeńczyków. Gwałt wywołuje opór. Armeńczycy zaopatrują się w broń i przy sposobności napadają również. Tak zamordowali majora Bekira w Armenii, splądrowali pałac sułtański nad Bosforem—rzezi jednak gromadnej jeszcze nie wyprawili. W Konstantynopolu zaciętość wzrasta, jedni i drudzy ostrzą sobie serca i noże; ale spokój zewnętrzny panuje. Patryarcha Izmirlian, wezwany przez dyplomacyę, do której przyłączyła się i austyacka nie wydał od siebie nic, dla uspokojenia umysłów. P. Currie, poseł angielski, wyjechał z Konstantynopola z pełnym koszem ustępstw wymożonych na sułtanie. Bezpieczeństwo jego osobiste w stolicy tureckiej było już wątpliwem. Staroturcy odgrażali się, że mu nie darują. Wkrótce, po rozmówieniu się z Salisburym, wróci. Sułtan, za jego pobytu, przyjmował na niezwykle serdecznom posłuchaniu p. Nelidowa.

Stronnictwem młodo-tureckiem zaczyna sułtan zaludniać już swe więzienia. Rozchodzą się nawet pogłoski, że usłużna sprawiedliwość używa uproszczonej procedury: topi odrazu w Bosforze. Komitety tajemne w Stambule samym, ponad morzem Marmora i w Londynie rozżarzają ducha rewolucyjnego. Sułtan obu braci swoich, Raszyda i zapomnianego już przez świat, poprzednika swego Murada (Amurata V) kazał wziąć pod straż surową. Wielkie to jeszcze dla nich szczęście, że nie sięga po jakie nożyczki lub postronek — oczywiście, jedwabny. Niezadowoleni muszą rewolucyę zaczynać od wyszukania sobie nowego słońca. Godność ta dostałaby się prawdopodobnie Raszydowi.

Dotychczas jeszcze nie zamianował Abdul-Hamid ani komisyi, wprowadzić mającej reformy do Armenii, ani komisarza nadzwyczajnego, ani pomocników gubernatorskich; przyrzeka tylko, że wszystko pójdzie jak najlepiej.

We Francyi przesilenie. Ribot się rozbił. Zwaliła go wspólka ludzi, poruszając sprawę słynnej kompanii drogi Południowej, onemu Reinachowi zapewniającej „ziemską" nieśmiertelność. Względność przysięgłych, którzy jego wspólnika, „senatora" Magnier'a, skazali tylko na rok zamknięcia, zeszła się z ogłoszeniem całej listy ministrów dawniejszych i deputowanych jeszcze dzisiejszych, którzy brali większe lub mniejsze łapówki — od kilkudziesięciu do kilku nawet tysięcy franków. Fakt już jest pewnym, bo wynika z rachunków, zrobionych przez biegłego sądowego, Flaury'ego.

Powtórzyło się mniej więcej położenie za Carnota, w grudniu 1892 r., kiedy wybuchała Panama. Rząd prawdziwie rozumny, silny i republikański—szlachectwo przecież zobowiązuje—byłby sam chwycił w swe ręce ster śledztwa i ściągnął wymiar sprawiedliwości. Płytkie głowy i płytsze jeszcze charaktery stanęły w obronie niby powagi prawa przeciw warcholstwu. Dzień poniedziałkowy nauczył p. Ribota i jego kolegów rozumu. Interpelanci, Rouanet, Binder i Berry przyszli z tak ciężkimi dowodami, że nawet Izba, mająca wielu kandydatów na łapowników, nie mogła pod ich ciężarem nie uledz. Hańbiący ministrów a zaproponowany przez nich prosty porządek dzienny odrzuciła 406 przeciw 105, przyjęła jednomyślnie mocyę Haberta, aby wydać prawo, zabraniające deputowanym procederów t. zw. finansowych i uchwaliła 275 głosami przeciw 196 ściganie winnych. Dlaczego odrazu nie wydała prawa, że sam już początek dowodu wystarcza do wyrzucenia danego indywiduum z senatu lub Izby?

Przegłosowani ministrowie zażądali dymisyi. P. Faure nie drożył się: dał odrazu; jędrniejszy od Carnota, nie potrzebował pukać do sumienia.

Po hr. Badenim, d. 24 b. m., w Izbie deputowanych Przedlitawii wyłożył swoje *exposé* finansowe—jak je żargon nazywa—p. Biliński. Niemcy i żydzi kręcą nosem. *Neue freie Presse* nazywa ten długi poważny, szczery, może zbyt szczery, obraz skarbowości przedlitawskiej pracą trzytygodniowego ministra, giełda zniżyła kursy; nic dziwnego: p. Biliński chce jej trochę krwi upuścić pod postacią wzmożonego podatku. Dnia 26 b. m. sam p. Badeni uzupełnił swą mowę programową z 22-go. Radziła nad nią Izba od 24—26-go, nawet jeszcze w poniedziałek chciała na te szermierki zająć. Jedni tylko młodoczesi przez Herolda swego okazali się opornymi: chcą przedewszystkiem króla, korony i zupełnego królestwa św. Wacława; ale i wśród nich objawia się prąd łagodniejszy. W listopadzie odbywają czesi wybory do swego sejmu. „Naród sobie" spłucze ostatecznie staroczechów.

BADANIA NAUKOWE.

SZKICE ANTROPOLOGICZNE.

Nasze gadki i ich charakter. — Trudność rozbioru i próby wytłomaczenia niektórych wątków. — Metoda porównawcza.—Porównanie motywów baśni z rzeczywistością wśród ludów dzikich. — Próby Hartlanda.— Czem ostatecznie są gadki?

Każdy zna liczne gadki ze wspomnień dzieciństwa. Zachwycały one nas niegdyś swoją treścią i podniecały wyobraźnię dziecięcą, która, kołysana opowiadaniami o zaklętych królewnach i dzielnych królewiczach, o niegodziwych czarnoksiężnikach i strasznych babach - jędzach, o dowcipnym Janku-Filucie i nieszczęśliwej Mysiej-skórce, snuła dalej przędzę nadzwyczajności, marzyła o lochach podziemnych pod zamkiem i tęskniła do złotego jabłka. Król rozkazał synom wyszukać sobie żony. Puszczają oni strzały i gdzie która z nich padnie, tam każdy znajdzie przeznaczoną sobie. Strzała najmłodszego pada przy źródle, w którem mieszka paskudne żabsko. Ale niema rady, królewicz musi poślubić wstrętne zwierzę. Okazało się, iż w przebraniu żaby pokutowała piękna królewna. Na noc zrzuca ona z siebie brzydką skórę, ale surowo zakazuje mężowi dotknąć jej, a tem bardziej zniszczyć ten przyodziewek.

---

3)

LAURA MARHOLM.

KSIĘGA KOBIET.

III.

Nie było u Maryi Baszkircew tego wyłącznego przeznaczenia na malarkę, jakie natura daje ludziom o *jednym* tylko talencie. Gdyby głos jej nie zanikł w rozwoju, stałaby się zapewne jedną z owych największych śpiewaczek, których czar tkwi nietylko w zewnętrznym uroku głosu, ale i w podbijającej sile wielkiej, głębokiej indywidualności. A w dzienniku jej przejawia się pisarka o niedorównanej intuicyi psychologicznej, o spojrzeniu, rozumieniu, pojmowaniu, wibracyi duszy, panowaniu nad językiem w stopniu tak genialnym, że nawet bogaty temperament ruski nic podobnego wykazać nie może. A gdyby młoda ta kobieta, której całe krótkie życie było jedną trawiącą tęsknicą za miłością, poznała była wielką, całkowitą miłość, gdzież byłaby inna, któraby się z nią równać mogła? Wszystko w niej było z pierwszej ręki, wszystko z materyału najlepszego, jaki ziemia dać może — i w tem właśnie tkwiło fatum—które było jej zgubą.

Rdzeniem jej natury była bowiem nieokiełznana duma, w której wyrażała się wewnątrz niejasna świadomość wielkiej osobowości o wartości własnego *ja*. Lwica nie połączy się z psem domowym. Ten sam instynkt, który w świecie zwierzęcym odgranicza od siebie gatunki różnorodne, stanowi w większym daleko stopniu, niżli sądzi nasza mądrość materyalistyczna, o sile przyciągania i odpychania w dziedzinie miłości. Naturą tej dziewczyny rządziło żelazne prawo, nie dozwalające jej obniżyć poziomu swego aż do takiego punktu, na jakimby wśród mężczyzn swojej sfery miłość spotkać mogła. Stara się o to kilkakrotnie. Niepodobna. Wyjątkowa jej natura pożąda mężczyzny, któregoby skarby męzkie przewyższały jej kobiece. Ale takich mężczyzn nie było w salonach i pracowniach malarskich Paryża, nie było ich też na Corsie, ani w lasku bulońskim. Nigdy takich nie poznała.

Ona, która stworzoną była na wielką śpiewaczkę, na wielką malarkę, na wielką poetkę, przedewszystkiem jednak na wielką kochankę mężczyzny, *nigdy* miłości nie poznała i umarła, nie dostąpiwszy wielkości na *żadnej* ze wspomnianych dziedzin; przez całe bowiem życie pozostała w pętach siły większej od wszystkich innych władz jej—w pętach *wielkiej niewiedzy* młodego dziewczęcia.

Bez względu na wszystko, co sobie przyswoiła, co pojęła za pomocą wrażliwych nerwów i bystrego umysłu, pozostała zawsze w każdym kierunku czemś *niedokończonem*. A taką będąc, szukała w mężczyźnie *skończoności*, tego, co się już *stało*, a więc tego, co się starzeć zaczyna, co niczego dać już nie może, w czem nie drzemie żadna już tęsknota, żaden nie rozbudzony jeszcze popęd. Czuła pewnie nieraz na sobie spojrzenie, od którego ciało jej drżało, krew wrzała, a którego biała jej dusza nie pojmowała. Kartki jej dziennika są niewinne od początku do końca...

Dziennik Maryi, to już nie *przyczynek* do psychologii młodego dziewczęcia, ale psychologia w jej ogólnych, typowych zarysach, psychologja dziewiczości, przekazana wiedzącym przez niewiedzącą, jako jedyny jej pomnik na ziemi, który jednakże przetrwa marmury i granity. Ta przedwcześnie zmarła dziewczyna nie chciała bowiem *umierać*. Książkę tę zapisywała przez lat dwanaście w podróży, w przerwach między rozrywkami, pośród pracy, zwątpień w samotności, wśród dreszczów, jakie rzucała na nią obawa przed życiem, podczas bezsennych nocy i błogich na łonie natury upojeń — mówiła wciąż do nieznanych a wszechobecnych słuchaczy, mó-

Razu pewnego królewicz, któremu sprzykrzyły się docinki braci, pali skórę, ufny, że żona, nie mając jej, pozostanie na zawsze w postaci ludzkiej. Tymczasem zaklęta królewna znika i stroskany mąż idzie szukać jej po szerokim świecie... W innej gadce królewicze jadą w świat po przygody. Rozłączając się, dają sobie na pamiątkę noże. Kiedy który z nich pokryje się rdzą, to ten, kto go dał, zginął. Jednego i drugiego „coś" zaklina w kamienie. Najmłodszy, miarkując z noża swego, że nieszczęście przytrafiło się braciom, jedzie na ratunek, zabija „to" i wyzwala zaklętych..

W dzisiejszym stanie nauki „folklorystycznej" wiemy, że w postaci przesądów ludu ukrywa się filozofia naszych praojców, rozbita na drobne cząstki i rozproszona, że w zabobonach przechowały się nieraz dawne zwyczaje i nawet tryb życia z zamierzchłej epoki i że przeżytki czasów odległych przetrwały w czynach naszych, chociaż zdawałoby się, jesteśmy już wolni od tego rodzaju wpływów. Ale co do baśni i gadek, wiedza nasza nie jest tak posunięta. Bo zaiste ten świat czarodziejski, pełen zaklętych królewien i bohaterskich królewiczów, nadludzkich czynów i wypadków nadzwyczajnych, gdzie za oręż służą kije-samobije, są drzewa śpiewające i na nich rosną złote jabłka, po które przylatuje żar-ptak, gdzie na szklanej górze leży uśpione dziewczę, smoki zaś i inne siły nieczyste bronią dostępu, świat ten, w którym dzieją się takie cuda, wielce jest pogmatwany. Niepodobna tam znaleźć ani planu i drogi, ani pochodnią nauki oświetlić kryjówek i kątów. Wyobraźnia ludu szydzi z rzeczywistości, bez względu na treść istotną życia, podobnie jak ręka malarza w swawoli twórczej kreśli zygzaki, aż wyjdzie z pod ołówka dziwactwo, niepodobne do niczego, ale piękne.

Wzięto się jednak do zbadania łamigłówki — treści gadek. Niektórzy, np. Mac Ritchie, usiłowali dowieść, że drobnoludki, mieszkający po skałach i urwiskach i posiadający na swoje rozporządzenie stosy złota i srebra, są puścizną zarania dziejowego — ludów rozbitych i wyniszczonych; że Kruszy-skały i Wali-góry są znowu upostaciowaniem zwycięzkich najazdów. Europę północną miała zamieszkiwać rasa karłowata, którą wyparły z jej siedzib roślejsze i wypchnęły do ustroni górskich. Ktoś inny usiłował wytłomaczyć rodowód zaklętych królewien, które po paru latach pożycia opuszczają swoich mężów, gdy ci przełamią zakaz niedopytywania się żony o jej przeszłość lub nie ukryją dobrze skóry, w której ona pokutuje. Są to cienie, potęgą zaklęć przywołane do życia doczesnego i po pewnym czasie wracające do posępnej krainy umarłych. Lud przyozdobił ten wątek podstawowy, pokolenie po pokoleniu urozmaicało i zarazem przekształcało coraz głębiej jądro pierwotne, aż w końcu powstało coś zupełnie odmiennego od dawnej treści.

Takich teoryj moglibyśmy przytoczyć więcej. Wszystkie one odznaczają się tą samą wadą: za wiele chcą wytłomaczyć z bardzo małym zasobem dowodów. Może królowny, pokutujące jako żaby, są waryacyami, wysnutemi przez wyobraźnię ludu z podań o stosunku żyjących do świata umarłych, ale setki wieków porwały nici pokrewieństwa rodowego i zniszczyły ślady pochodzenia; może w opowieściach o drobnoludkach i olbrzymach została pamięć o walkach rasowych, lecz gdzież wiarogodne świadectwo? Wszystko to być może, ale jest to takie „może," które przysłowie doradza włożyć pomiędzy bajki. Próby Mac Ritchiego czynią takie samo wrażenie, jak gdyby ktoś prostym kluczykiem dobierał się do bardzo złożonego zamka.

Natomiast inne dociekania zasługują na baczniejszą uwagę — może nie tyle ze względu na rezultaty ostateczne, ile z powodu metody, jaką posługują się przedstawiciele tego kierunku. Wyobraźmy sobie, że na prostym, niespojonym zrębie, ułożonym z ogromnych głazów, tj. na fundamencie odwiecznej struktury, ktoś wzniósł portyk grecki, tyły budynku ubrał w kształty gotyku, z jednego boku wziął sobie za wzór styl mauretański, z drugiego — linie rokoka. Każdy wątek wyobraźni ludowej, istniejący w postaci skończonej gadki, jest budowlą tak dziwacznie skleconą. Każda epoka rozwoju społecznego, zgodnie ze swoimi widnokręgami, przeinaczała stare podanie, dodawała swoje upiększenia, zmieniała charakter osób działających, obcinała lub rozszerzała pewne ustępy. W takich warunkach byłoby nierozsądnem szukać rodowodu gadki, bo ginie on w pomroce wieków, stokrotnie przekształcany. Ale z powyższej trudności wyśledzenia początków bynajmniej nie wynika, ażeby materyału, dostarczanego przez płody fantazyi ludu, niepodobna było poddawać rozbiorowi. Owszem, możemy podjąć tę pracę w nadziei pomyślnych wyników, ale winniśmy przytem pamiętać, iż nasze najpierwsze zadanie i może nieraz jedyne, to analiza szczegółów, z których składa się gadka, to wyjaśnienie, co każda epoka po sobie zostawiła w jej budowie.

Ten sposób studyów nad baśniami zastosowali folkloryści, hołdujący metodzie objaśniania umysłowości ludu za pomocą faktów i zwyczajów, istniejących na globie ziemskim wśród dzikich i barbarzyńców.

Zatrzymajmy się, dla przykładu, nad znaną powszechnie gadką. Czarownik najął wyrostka do służby, zapewniwszy się przedtem, że nie umie on czytać. Chłopiec zaparł się posiadanej umiejętności. Tam zawiązał przyjaźń z psem i koniem, ongi ludźmi, zamienionymi przez pana swego na zwierzęta. Dali mu radę, ażeby ukradł książkę, wyzwolił ich z zaklęcia i uciekł z nimi z niebezpiecznego domu. Bohater usłuchał ich. Wrócił do rodziców ze sztuką czarów: ojciec sprzedaje go jako konia, bierze pieniądze, syn zaś przemienia się w ptaka i przylatuje do swoich. Żyją więc bez pracy. Ale czarownik nie dał za wygranę. Czatował póty, aż wreszcie udało mu się nabyć na targu mniemanego rumaka. Wybił go na miejscu, poczem powiódł podkuć do kuźni. Tam, dzięki pomocy dzieciaków, chłopiec uciekł: z konia zamienił się na mysz. Czarownik, widząc to, przedzierzgnął się w kota, tamten wtedy staje się gołębiem, ten — jastrzębiem. Wreszcie chłopczyna, zrobiwszy się kanarkiem, wleciał pannie we dworze do fartucha. Wróg przyjeżdża kupić go. Gdy ma już zabrać klatkę, pan upuszcza ją na ziemię, kanarek zamienia się na kilka ziarnek pszenicy, czarownik zaś na koguta, który zaczyna dziobem zbierać zboże, ale z ostatniego ziarnka powstaje lis i dusi koguta. Czarnoksiężnik ginie.

Jeżeli odrzucimy dodatki późniejsze, jako to: książkę, targi itd., to otrzymamy treść, najzupełniej zgodną zarówno z filozofią, jako też z praktyką kultury dzikiej. Każdy szaman i fetyszer szczyci się posiadaniem mocy przybierania postaci różnych zwierząt i nawet dają podczas misteryj plemiennych przedstawienia swojej umiejętności — w warunkach, przypominających seanse naszych spirytystów. Współzawodnicy czarodzieje wpadają w rodzaj uśpienia, podczas którego—tak twier-

---

wiła, aby w pamięci tych, którzy kiedyś pismo jej czytać będą, *żywą pozostać na ziemi, gdyby zamłodu umrzeć jej przyszło.* Taki *document humain*, otrzymany z rąk młodego dziewczęcia, myślała, tyle chyba ludzi zajmie, że go nie zapomną. Obiecuje też, że wszystko, co dotyczy małej jej osóbki, opowie, „wszystko, wszystko i nietylko to, co kiedykolwiek myśli, nie ukryje i takich rysów, któreby ją ośmieszyć lub zeszpecić mogły; bo i jakież prawo bytu miałaby ta książka, jeżeli prawem tem nie będzie dokładna, absolutna, subtelna prawda?"

Tak zapewno, dokumentem ludzkim w duchu Zoli, Maupassanta lub Goncourtów wyznania te nie są. Nie zawierają ani jednego obnażonego szczegółu. Wstydliwe są, nietylko ową wstydliwością dziecięcia natury, ale tą przeczystą, pretensyonalną, wymagającą, chorobliwą wstydliwością młodej, chorowitej, cieplarnianą urodą pięknej damy „z towarzystwa," która pod białą, miękką, powłóczystą szatą, będącą wytworem krawieckiego kunsztu Paryża, ukrywa krwawy ból i zarodki śmierci. Lecz wyznania te prowadzą nas od wytryskającego promienia źródła jej życia aż do miejsca, gdzie kropla za kroplą źródło to wysycha — aż do śmiertelnego znużenia i rezygnacyi ostatnich jej dni.

* * *

Znużenie to występuje bezpośrednio po owem bezwzględnem przepracowaniu się podczas dwuletniej nauki u Juliana. Pochodzi zaś z przyczyn psychicznych więcej, aniżeli z fizycznych. „Czego można się było nauczyć, nauczyła się pani!" Temi słowami żegna ją Juljan. „Reszta zależy już od ciebie." Robert Fleury, wyższy profesor akademii, potwierdza to orzeczenie. Z tem ją pozostawiają. Cóż teraz począć? Skąd weźmie ową „resztę"? Ona, ta młoda dziewczyna, która tak niezwykłą była uczenicą? Skąd weźmie to tło indywidualne, w którem produkcya twórcza własną przejawia osobowość? *Uczyć się*, tak uczyć się potrafi młoda dziewczyna, równie dobrze, jak wszyscy wzorowi uczniowie wszystkich akademij. Ta nic nie stoi jej na przeszkodzie. Ale tworzyć? Skąd? Z siebie samej? W niej próżnia jest. A gdzież te wrażenia, któreby całym jej organizmem wstrząsnęły i któreby go zapłodniły? Może sobie coś wymyśleć, przedstawić, wyobrazić. Ale to już wszystko. Jednakże w naturze Maryi Baszkircew nie było ani cienia obłudy, którąby jej obranie tej drogi umożliwiła. Oprze się o coś, będzie naśladowała? Stara akademicka sztuka nie przemawiała do jej uwięzionego *ja*, co było naturalnem. A nowa, ta, która się wyłaniała? Alež przecie ona tworzyła się dopiero i były w niej wszystkie męty i nieczystości rzeczy, która znajduje się jeszcze w rozwoju. Niedokończona zaś Marya Baszkircew pożądała czegoś skończonego.

Takim tedy był jej stan. W Beaux malowała podług modelów, wyjeżdżała pod eskortą panny służącej i kilku młodych rodaków i kopiowała w powozie sceny uliczne, w niejasnej potrzebie oparcia się o cośkolwiekbądź, szkicowała obrazy religijne i historyczne, z trudem i wysiłkiem przygotowała płótno dla najbliższej wystawy w Salonie; zmysłów o mało nie straciła zpowodu zawiedzionej ambicyi i musiała usłyszeć: że utwór obecny znacznie jest słabszy od obrazu, wykonanego pod kierunkiem Juliana. Przez kilka lat wszystko marnieje w jej rękach. Nie ma ani własnego kolorytu, ani stylu, ani doświadczeń własnych ani pomysłów. Drzemiąca w niej osobowość zbyt jest silna, aby popaść mogła w słodkawą, estetyczną bezbarwność jednej malującej grupy damskiej lub też w bezpłciową, męzką surowość — drugiej.

Wtedy to następują dnie rozgłośnej sławy Bastiana Lepage'a.

Marya Baszkircew ogląda obrazy i staje się jego uczenicą, wielbicielką, apostołką.

Lecz w tym jej stosunku do niego są i trzy „ale."

Jasne jego barwy, przesycona życiem atmosfera, podkreślany w człowieku pierwiastek fizyczny — wszystko to rozbudziło w niej właściwą południowo-ruską naturę.

dzą oni — walczą z sobą. Dusze ich zamieniają się na zwierzęta. Gdy dwa plemiona idą na wojnę, to szamani z obu stron czynią takie ciężkie próby, zwyciężony zaś umiera — z przegranej. Pojedynki te są opisywane w taki sposób, jak brzmi nasza gadka. Mamy więc w tej ostatniej szczątek dzikiej przeszłości, który przestał być aktem wiary i jest prostą bajką. Nawet najbardziej prostaczy umysł wie, że wszystko to tylko zmyślenie, chociaż stara szata dotrwała w swojej całości.

Wybraliśmy przykład może najprostszy, bo waryanty, wprowadzone do pierwotnego wątku w czasach późniejszych, są tam nieliczne i błahe. Istnieją jednak gadki, posiadające budowę bez porównania zawilszą. Zwłaszcza złożonością odznaczają się o zaklętych królewnach. Hartland, znany folklorysta angielski, przedsiębrał próbę wyjaśnienia nieco ich rodowodów. Ponieważ na razie nie idzie tu nam o całość otrzymanych rezultatów, ale o naturę stosowanej metody, przeto zatrzymamy się tylko nad niektóremi jego hypotezami.

Istnieje wszędzie wiele wątków, których treść zasadnicza mniej więcej tak się przedstawia:

Młodzieniec ukryty widzi, jak z łabędzi, podpływających do brzegu, wychodzą urodziwe dziewoje. Bohater kradnie skórę, zdjętą przez jedną z nich i gdy towarzyszki odlatują, ta pozostaje jako jego żona. Żyją szczęśliwi i dobrani, mają sporo dzieci, ona zdawałoby się, zupełnie zapomniała o przeszłości. Ale razu pewnego, gdy matka męża pokazała jej skórę łabędzia, synowa włożyła ją na siebie i znikła. Albo bohater dostaje żonę w inny sposób, ta zaś zgadza się na związek pod warunkiem, że mąż nigdy nie uderzy jej żelazem, ani nie wymieni jej właściwego nazwiska. Zamiast okrycia łabędziego, gadka mówi o łusce wężowej, skórze żabiej; warunki są różne, ale ostatecznie wszystko sprowadza się do zasadniczej rzeczy, mianowicie, iż pan mąż nie dotrzymuje słowa, łamie zakaz, żona zaś za karę opuszcza go.

W pierwszym wątku uderza nas przedewszystkiem łatwość, z jaką żona porzuca męża, kiedy ten dopuści się względem niej pewnych czynów, oraz błahość powodów opuszczenia. Okoliczność ta przenosi nas do epoki odległej, kiedy związek małżeński odznaczał się niepomierną chwiejnością i bywał zrywany lada kłótnią. Łatwy rozwód, to cecha zasadnicza rozpatrywanej gadki. Rozłączenie zaś małżonków następuje skutkiem bardzo błahych powodów—z naszego punktu widzenia. Mąż np. wymienia głośno właściwe imię swojej połowicy, to zaś wystarcza, ażeby go porzuciła. Ale jeżeli zwrócimy się po szczegóły do życia dzikich, to znajdziemy, że opowiadanie powyższe nie raziłoby słuchacza australskiego. Imię uchodzi tam za świętość, za najistotniejszą cząstkę organizmu, którą jeżeli posiędzie człowiek niedobry, to zdoła nabroić dużo złego. Bywa więc ono troskliwie ukrywane przed całym światem, plemieniec zaś w życiu codziennem słynie pod przybranem nazwiskiem. Taka wiara jest źródłem wielu zajść, odpowiadających duchowi naszej gadki. Między innemi możemy wskazać zdarzenie, dosłownie zgodne z jednym z zakazów. „Rozpytywanie się niewiasty o jej imię — opowiada Powers o kalifornijczykach — uchodzi tam za wielką nieprzyzwoitość. Nawet mąż, pod żadnym pozorem, nie może wołać na swoją żonę po imieniu. Opowiadano mi, że z takiego powodu niejednokrotnie wynikał rozwód!"

Przy szczegółowej analizie moglibyśmy nabrać przeświadczenia, że różne zakazy znajdują się w podobnym związku z codzienną praktyką naszych dalekich przodków.

Równie postać zwierzęcia, w której pokutuje dziewczę, posiada odpowiednie równoznaczniki w obyczajach dzikusów. Istnieje tam totemizm, polegający na tem, iż plemię rozpada się na rody, które noszą nazwy zwierząt i uznają je za swoich krewniaków. Niektóre obrzędy, np. ubieranie niemowlęcia w strój zwierzęcy na „chrzcie," chowanie zmarłych do grobu w skórach krewniaków czworonożnych, przebieranie się rodowców podczas pewnych uroczystości, pozwalają wnioskować, że totemizm jest przeżytkiem po okresie jeszcze wcześniejszym, gdy gromady ludzkie swoim strojem podszywały się pod to lub inne zwierzę. Dodajmy, że u ludów pierwotnych podania o prababkach założycielkach rodu, są zupełnie podobne do naszych gadek o królewnie-żabie, tylko że niema tam żywiołu cudowności.

Mniemamy, że będzie dosyć przytoczonych przykładów. Przedstawiają one nam rodowód gadek i bajek w zupełnie nowem świetle. Zwyczaje dawno przebrzmiały w codziennem życiu, ale pozostały jako składowe części opowieści. Lud, otrzymując z pokolenia do pokolenia spuściznę, która stawała się coraz niezrozumialszą, przeinaczał ją i dopasowywał. Kobieta, porwana z obcego plemienia i nalożąca do pewnego rodu, stawała się królewną, pokutującą lub zaklętą w przyodziewku zwierzęcym, prosty plemieniec wyrastał na bohatera, rozwód przybierał postać naglego, niekiedy zaś cudownego zniknięcia... Wyobraźnia ludu pracowała, ażeby wytłomaczyć to, co dla niej stało się obcem, dokonywała zaś tego, wzmacniając w gadce żywioł cudowności. Przeżytek z czasów zamierzchłych stał się zbiorem dziwolągów, przeznaczonym dla bawienia dzieci.

L. Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

Kazimierz Gliński

W NAJŚWIEŻSZYCH SWOICH POWIEŚCIACH.

I.

Powieść polska tak w ostatnich czasach rozrosła w rozmaitych kierunkach, że ma obecnie nietylko swe krańce, lewicę realistyczną i prawicę idealistyczną, ale też i kilka odłamów środkowych — prawy, pozłacany optymizm, lewy, posrebrzany optymizm, centrum krwi czystej, dobijające się o powrót do dobrych, starych tradycyj Kraszewskiego.

Kazimierz Gliński, jako poeta i dramatopisarz, wybrał był początkowo stanowisko uboczne, zwane po parlamentach „dzikiem." W „Obłąkanych" (1882) złożył bardzo wyraźny hołd wybuchowej liryce romantyzmu — rzetelnego, dobrego owego romantyzmu, który Stanisław Krzemiński w pierwszej seryi *Zarysów literackich* poczytuje za jedyny, prawdziwy kierunek w poezyi, za jej wyraz zasadniczy, od istoty rzeczy nieodłączny. W „Firlejówce" (1887), w „Almanzorze" (1891), w pieśniach i epigramatach p. t. „Poezye" (1893) okazał się nasz neo-romantyk znacznie już dbalszym o tak zwaną „przedmiotowość" uwydatnienia, którą realiści sobie

Wyzwalał w niej to, co dotychczas więzione i wstrzymane było przez wpływy akademickie—i wyzwalał w niej rodzinne *milieu*. Znalazł w nim jakiś rys pokrewny, który był właśnie pierwotnie ich obojga cechą, to zaś sprawiło, że w stosunku do niego stała się miękką, serdeczną, cichą. *Ale* uczenicą jego być nie chciała. Czuła, że na to, istoty ich zbyt są odmienne, przeczuwała zbyt wyraźnie, że wpływ, jaki na nią wywiera, jest tylko fazą przejściową.

Ubóstwiała go, bo praw swoich domagał się długo utrzymywany, wyśmiewany popęd wielbienia, oddania się. Lecz było to wielbienie łagodne, siostrzane, bez żaru. Bo i gdzież ten mały Bastian Lepage mógł być mężczyzną, któryby w drżenie prawdziwe wprawił jej nerwy? Zbyt wiele było w nim instynktów mieszczańskich i zbyt wiele uprzyjemności dla jego wolnej sztuki.

I taką też, nawpół mechaniczną, była jego apostołka, Saint Marceaux, rzeźbiarz, silnie na nią podziałał.

Lecz ponad dwojgiem tych ludzi, którzy otarli się o siebie pobieżnie tylko, w przejściu, los rozdzielił łączącą ich zorzę, milczącą, krwawą.

Oboje chorzy byli, kiedy się poznali; Bastian Lepage chorym był z życia, którego zdradne rozkosze zwolna go niszczyły Marya Baszkircew z nieżycia, w którem miłość, piękność i siłę straciła.

Typowa dola młodego, kulturalnego mężczyzny i młodej, kulturalnej kobiety dni naszych. On przychodzi do niej złamany, ugasiwszy pragnienia. Ona przychodzi do niego zniszczona pragnieniem nieugaszonem.

Nie rozumieją się i teraz nawet dwa te odgraniczone od siebie światy.

Faza ostatnia, którą Marya Baszkircew miała za sobą, kiedy spotkała Bastiana Lepage'a była męką i stępieniem dla niej i dla czytelników jej dziennika.

W bezowocnych katuszach, wypływających z wielkich, bezpłodnych pożądań artystycznych, w klasztornem życiu środowiska rodzinnego, życia, którego jednostajność przerywały tylko kiedy niekiedy uroczyste obiady, świetne wieczory tańcujące i podjęte nanowo plany odpowiedniego małżeństwa, Marya Baszkircew stała się płytką i poprostu zgłupiała. Rzekłbyś, że geniusz ulotnił się, zostawiając tylko wiecznie sobą zajętą, chorowitą, znudzoną roślinę cieplarnianą. Była z dobrej rodziny pospolitą młodą panną, która wchodzi w lata, staje się trochę nieprzyjemną, wciąż jeszcze nic nie wie, a dokucza pretensyonalną, gadatliwą niewiedzą. Wszystko to jest jakby zdmuchnięto, odkąd poznaje Bastiana Lepage'a.

Staje się znowu tak przedziwnie młodą, tak niepewną, podległą zmieszaniu, zpowodu bylejakiej drobnostki. Kiedy artysta składa u nich pierwszą wizytę, ona traci najzupełniej równowagę, przebiera się trzykrotnie, zanim wchodzi do salonu i nie znajduje ani słowa pozdrowienia. Jego naturalność, jego mała, niepokaźna osoba, w której mieści się tyle osobowościowej treści, przywracają i jej prostotę, świeżość, ciepło. Teraz długie tyrady w dzienniku ulegają przerwie, następują krótkie zwięzłe notatki—tak jednak wymowne...

Bastian Lepage nie zaleca się do niej. Skromnym jest i zachowuje się z uderzającą powściągliwością.

Podczas długich jego nieobecności Marya podróżuje dla studyów — wpada znowu w stan dawny: ma w sobie pustkę, próżnię. Lecz gdy on powraca, otacza go słodką, cichą miękkością.

Była już od wielu lat cierpiącą. Miała płuca częściowo nadwyrężone — obecnie choroba rozszerzała się. Nadto ogłuchła, to zaś najwięcej ją dręczyło. Zdrowia nigdy szanować nie umiała.

(D. c. n.).

przywłaszczają, uważając ją za wyłączny przymiot trybów wytwórczych. Większy jeszcze nacisk na spokojny tok opowiadania położył w „Chacie Nikodema“ (1895) prostym i miłym obrazem dramatycznym, przy którym umieszczono też i portret autora.

W powieściopisarstwie imię Kazimierza Glińskiego znane było głównie z licznych nowel i szkiców, zebranych następnie w książkach pod napisami: „Z zakutego grodu“ (1891), „Splątane nici“ itd. Co do ogłoszonych niedawno powieści większych rozmiarów, a mianowicie „Kwiaty bez woni“ (Warszawa, nakład E. Skiwskiego, 1894, str. 274) i „Budowniczy szczęścia“ Warszawa, nakład T. Paprockiego, 1895, str. 309), z lekkich powiewów smutku i zwątpienia, unoszących się nad ich akcyą, skupioną w sobie, niedopuszczającą cisnących się autorowi na usta uwag i rozmyślań, zaliczyć tym razem wypada Glińskiego — do lewego środka. W „Tarantuli“ nareszcie (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1896, str. 285) romantyka znów zaznaczyła się mocniej.

W „Budownikach“ szczęście, ironicznie pojęte, buduje się w małej mieścinie, o tyle zbliżonej do świata cywilizowanego, że w niej p. Roman Kotowski, niegdyś właściciel ziemski, dość nawet zamożny, znaleźć mógł, po stracie swojej Błażejówki, przynajmniej kilku partnerów do winta i utopić niebawem w jego nurtach niewielki kapitał — jedyną pozostałość fortuny, puszczonej przedtem z wiatrem, naturalnie „z winy ziemi, nieba i żywiołów wszelkich.“ Zanim jednak przyszło do ostatecznej z tego powodu katastrofy domowej, w córce pana Romana, Julce, uroczej jak bóstwo, nad którem zawczasu zaciążyć miał los wyrobnicy, zakochał się cyprysowej urody i ognistej twarzy studencik, spędzający wakacye w domu bogatej swej ciotki, Serafiny Sylwickiej, bliskiej znajomej Kotyńskich, dopóki ci świecą jeszcze resztkami dostatków ex-ziemiańskich. Rodowe wiano studenta ugrzęzło w jakimś trudnym do odnalezienia kąciku książki. Na imię mu Stach, Stanisław; nazwijmy go Leszczyńskim, ze względu, że i on również, wzorem króla-filozofa, powołanym był, lecz nie uwieńczonym. Julcia zniewoloną była wyjść za kogo innego. Jak się to stało? dlaczego? — Oprócz winta i intryg ciotki Stacha, pracował na to cały legion architektów, któremu imię: języki małomiejskie. Leszczyński dał posłuch językom — jakże go za to ciężko fatum ukarało! Posłuchajmy.

Kiedy już stary Kotowski dogorywał na żebraczej niemal pościeli, a Julka upadała pod brzemieniem lekcyj prywatnych, płatnych bodaj czy nie po 20 groszy za godzinę, zjawił się do nich daleki krewny, milioner, osiemdziesięcio czy dziewięćdziesięcioletni. Ubóstwiał on przed sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu laty dziewoję, podobną do Julci, jak kropla wody z r. 1894 do kropli wody z r. 1824; odumarła go bogdanka. Stetryczały w kawalerstwie, ale jak dąb stuletni, jędrny jeszcze i twardy dziaduś, nie siadając oświadczył się podobiznie swych marzeń młodocianych, termin odpowiedzi naznaczył na Boże Narodzenie i odjechał. Oczywiście, Stach przybędzie przedtem... Wigilia. Godzina 5-a — gwiazda już wzeszła, jego niema; szósta — niema; siódma — niema... dziesiąta... jedenasta... północ — niema! Julcia jak piorunem rażona padła na ziemię. Boże ty, Boże miłosierny! — inna toby pod sufit skoczyła z radości, że zostaje milionerką, ona z rozpaczy omdlała! Ale poradźże tu, bądź łaskaw z kurczęciem glupiem!

W tymże jakoś czasie, w Warszawie, Stach kręcił się po ulicach, nie mogąc zgryźć w sobie mola, trapiącego go pod postacią rajonej przez ciotkę posażnej, hożej, wesołej panny Wandy. Tylko co właśnie wyszedł od niej znękany, z uczuciem niesmaku. Postanowił zajrzeć do dawnego przyjaciela, Witalisa Dołęgi, z którym niedawno mieszkał w jednej stancyjce. Witalis, rozciągnięty na żelaznem łóżku, medytował coś sobie o szarej godzinie. Na widok wchodzącego towarzysza nie powstał, nie ruszył się nawet; utkwił tylko jasno-błękitne swe oczy w stojącego przed nim Stacha i patrzał zupełnie obojętnie.

— Witalisie! — ozwał się Stanisław.

— A co? — spytał student.

— Czy nie łaska przywitać się ze mną?

— Jak widzisz—odrzekł krótko Witalis.

— Dlaczegóż to tak?

— Boś gałgan.

Stanisław drgnął. Krew bucknęła mu do głowy. Ale zaraz ochłonął. Znał dobrze Dołęgę.

— Cóż to, oszalałeś, czy co? — hamując, się, zagadnął raz jeszcze.

— Zdrowy jestem na ciele i umyśle — odparł Dołęga zezwykłą flegmą i nie zmieniając pozycyi. Jesteś złodziej, zbój, a do tego truteń, który za pieniądze sprzedaje siebie. Z takim moralnym niedołęgą, jak ty, Witalis Dołęga nic do czynienia nie ma. Jak wszedłeś nieprzywitany, tak niezegnany odejść możesz — i nic ci innego do zrobienia nie pozostaje.

Nieprawdaż, że to w swoim rodzaju nieporównane?

Ma się rozumieć, w dalszej rozmowie sprawa „języków“ dokładnie się wyświetla i oto, gdyby można było błyskawicą, ale że nie, więc pociągiem kolei Wiedeńskiej, Leszczyński pędzi do miasteczka. Na rynku kościół, przed kościołem plac zajęty przez karety. Stach rzucił się do drzwi świątyni, ale zaledwie dopadł środkowych jej kolumn, od ołtarza, wśród uroczystej ciszy, zadzwonił głos Julii, wymawiający ostatnie słowa przysięgi: *a iż cię nie opuszczę aż do śmierci...* U stóp ołtarza krzyk tylko przeraźliwy przeszył powietrze.

Byłożby to urojenie? Wydaje się nam, żeśmy tego zgrzybiałego męża Julci gdzieś widzieli, że go znamy... Ach, to pewno jego synowiec lub bliski krewny, w każdym razie odrostek tegoż samego niezmylnie szczepu, hrabia Ildefons Hojski z „Kwiatów bez woni.“

Ale to już wcale nie ta historya. Hojski jest oddawna szczęśliwym małżonkiem, ma córeczkę jak malina, którą zaraz zjeść trzeba, bo jutro skwaśnieje, przytem, lubo pan z panów, magnat, jakich niewielu mieliśmy nawet za Sasów — znajduje się obecnie, kto wie, może nawet w stanie żebractwa bliskim, jeżeli swojej Balbinki nie odda dawnemu gumiennemu, czy nawet gorzej, szachrajowi i hunewotowi co się zowie, utuczonemu dyabli wiedzą na jakich szwindlach łyczakowi, Dezyderemu Borcińskiemu.. Tylko że znowu, nie o niego, Dezyderego, tu chodzi — człowiek to dziś i szpakowaty, i brzuchaty, z dzierlatkami, jak Balbinka, ani się mu śni zadawać; idzie o jego syna, Karolka, wychowanego na sposób najkompletniej już nieekonomski, a rosłego i żywicznego, jak zdrowa sękata jodła na wiosnę. Sam widok zdrowego i czerstwego tego samorodka arystokracyi przyszłej, dreszczem niepowstrzymanego pociągu przejmuje wątłą i nerwową latorośl dogasającej wielkości; Balbinka na miejscu usiedzieć nie może przy myśli o Karolku, mieni się na twarzy, wykręca i rwie na sobie koronki, rękawiczki... Ale nic z tego, ohol niech-noby kto wspomniał Hojskiemu o wprowadzeniu córki do domu Borcińskich, cuchnącego już zdala gnojankami... Dezyderego przypuściło się do swojej kompanii, jest się z nim na ty, bo... ostatecznie, rozliczne konstelacye pieniężne tego wymagały. Obaj oni jednak doskonale rozumieją i wiedzą, że nie dla Borcińskich zimują raki w prastarych Czołbaniach, choć sami oni — intruzy — rozsiedli się dziś w głośniejszej jeszcze niegdyś siedzibie książąt Woronowickich...

Problemat to odwieczny: jedni słabną i z drabiny społecznej zstępują jak przeżyte bogi dawne, drudzy mężnieją i wznoszą się po tych szczeblach na opróżniane zwolna wyżyny. U Kazimierza Glińskiego zagadnienie postawione jest otwarcie, śmiało a najpoważniej. Pan Dezydery Borciński (są jego słowa) zdobywał prawo zostania możnowładcą, Hojski oddawna je posiadał. Tylko gdy Borciński rósł w złote pierzo, wspaniałe niegdyś skrzydła Hojskiego roniły pióra. Z rokiem każdym skracała się fortuna hrabiowska, odpadał folwark za folwarkiem, procesy następowały po procesach. Hojski był ostatnim przedstawicielem w tej części kraju rodów dawnych, Borciński kamieniem węgielnym nowych. Pierwszy kładł się do grobu z dumą magnacką i uśmiechem drwiącym, trwonił dorobek ojców z fantazyą marnotrawcy, za którym zostało wszystko, a nic przed nim; drugi mocnymi łokciami torował drogę w krainy nieznane, wierzył w potęgę pieniędzy i dzięki jej stał się znanym, usciełał sobie i potomkom gniazdo wygodne. Arystokrata szydził i kpił z ludzi, oka swojego nie zniżał na padół, gdzie się odbywał ferment społeczny; parweniusz, który właśnie z tego fermentu wypłynął, zaskarbił serca współbraci pochlebstwami, aby tem łacniej stopy na ich ramionach postawić.

Rozwiązanie kwestyi w „Kwiatach bez woni“ również mocno, głębiej jest pomyślane, i, o ile o tem sądzić możemy — trafne. Sprzeczności, jakie zachodzić zwykły pomiędzy bytem dążącym do nicości i nicości pnącej się do bytu — nie sposób rozstrzygać ugodą jakąkolwiek, dogmatycznie, filozoficznie, zasadniczo, na podstawie ustępstw zobopólnych. Sprzęga je lub rozprzęga życie, rozcina fakt. Że tak mniemać zdaje się autor, wynika to z jego wielce kolorystycznego obrazka, zamykającego walkę — i powieść.

Nad przebiegiem walki rozszerzać się nie potrzebujemy. Proces odbywa się najzgodniej z naturą składowych jego pierwiastków. Co tracą Hojscy w Czołbaniach, to zyskują Borcińscy w Woronowicach, a zyskują tem szybciej, że mają sprzymierzeńca w obozie „nieprzejednalnego“ ojca panny Balbiny — Balbinę samą. Nieprzejednalność, coraz ściślej brana w kluby ukłonów, uścisków i pożyczek Borcińskiego ojca, nie przestawała wszakże puszczać kłębów zjadliwego dymu wprost w oczy i w nos oblegających. Kapitulacyi z tej strony oczekiwałby chyba wartogłów. Co zaś do sprzymierzeńca — łatwo było przewidzieć niebezpieczeństwo dalszego z nim zwlekania. Balbinka nawet pod najzupełniej obojętnem spojrzeniem Karolka gotowaby się rozpłynąć, a cóż tu dopiero i mówić, gdy chłopiec wcale obojętnym nie był, pomimo że się wdał w nader idealistyczne, nader serdeczne, dozgonną stateczność obiecujące uśmiechy, półsłówka i uściśnienia rączki z bliską kuzynką, Salusią Wojświczówną w Krakowie, dokąd obie strony zjechały na czas jakiejś zabawy czy też uroczystości dorocznej — a jest tam tego po dwanaście na tydzień, więcej w każdym razie, niż obiadów w książce p. Ćwierczakiewiczowej. Oczywiście, Balbinka kłótni z Karolkiem o takie „łobuzerye ulotne“ nie zacznie... Owszem, tem goręcej w lusterku do siebie się wdzięczy, tem rozkoszniej, kłaniając się olśniewającemu swojemu wizerunkowi, powiada: „Beau Charles! pokochać mię musisz!..“ Tylko że — dokąd się z tem zajd[illegible] Są słodycze tak wielkie i pełne, że dla nich staje się w końcu najzupełniej obojętnem pytanie, czyje usta smakować w nich będą.

Znała się na tem wyśmienicie babcia Balbinki, pani prezesowa Bryńska, pod której opieką zostawała obecnie w Krako-

wie ostatnia perełka rodu Hojskich. Pani wielkiego świata, doświadczona, bywalska, jednej tylko ułomności uległa: maleńkiemu brakowi gotówki. Ależ z Borcińskimi — to błahostka, wspominać o tem nie warto. Pewnego tedy wieczora, kiedy Karolek po straszliwej kłótni z ojcem o Salusię, wycałował ją od bucików do warkocza (siostrzyczką wszak była! a przytem w duchu ją żegnał!) i wieźć się zaraz kazał do pani Bryńskiej — Balbina akurat klęczała u stóp babci i zarumieniona po sam wierzch stanika, spowiadała się przed nią ze swych dolegliwości. Wpadł *beau Charles*, blady, z roziskrzonemi oczami... Przyjęty okrzykami radości, upojenia, zmieszał się nieco. Oprzytomniał zaraz. Usiedli przy sobie oboje; prezesowa opodal. Zaczęła się rozmowa... Wspomnienia jeszcze bardziej ożywiły pannę Balbinę. Z niewysłowioną kokieteryą pochylała się ku Karolowi...

Dosłownie dalej cytujemy autora:

„— Czy pani pamięta ostatni wieczór w Woronowicach? — szepnął młodzieniec. Ach, gdyby on wrócił, oddałbym życie swoje przeszłe i przyszłe.

W tej chwili uczuł silny, choć miękki, uścisk dłoni hrabianki. Obejrzał się. Prezesowa wyszła cicho, drzwi zamykając za sobą. Wychodząc, musiała lampę nieco przygasić, bo mrok napełniał salę. Karol pochylił się do ust Balbinki. Coś brzękło w powietrzu, raz, drugi i trzeci... Lampa mrugnęła i zgasła.“

We dwa miesiące potem odbył się ślub Karola Borcińskiego z hrabianką Hojską. Nazajutrz ojciec panny młodej, hrabia Ildefons, nie żył.

Tak kończy się powieść.

Świetną jest ona, niezaprzeczenie, i świetnie napisana. Pojąć tylko nie możemy, dlaczego nosi tytuł: „Kwiatów... *bez woni*“? Aromaty z niej biją jak z ogrodów podzwrotnikowych — mocne, odurzające. Zapewne, taki łopian Hojski, taki słonecznik Borciński (ojciec), taka cykorya Bryńska, nie mogą zapachnąć różą i fiołkami, ale ich potomstwo!.. Zresztą, Bogiem a prawdą, aczkolwiek oślepliśmy już do połowy nad sprawozdaniami z powieści polskiej, wolimy przecież sądzić o kolorach, niż się pysznić cieniem bodaj czegoś zbliżonego do zmysłu powonienia.

A ponieważ zbliżamy się teraz z kolei do „Tarantuli“ — to i wyśmienicie na tem kalectwie wychodzimy. (D. n.)

J. T. Hodi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Wybory do sejmu skończono, do Rady państwa już się agitują — awięc nowe walki, nowy wybuch namiętności i — minimalny rezultat końcowy, jako nagroda za zmarnowane siły. Czy reforma wyborcza przyniesie nam jakie poważne zmiany, któreby usunęły gorączkowy stan, panujący obecnie śród 15-u różnoplemiennych narodów Austryi?

Czy życiu publicznemu przyniesie wreszcie nieco spokoju tak bardzo pożądanego przez wszystkich? Czy pracy ekonomicznej licznych tutaj swych narodów i narodków da nakoniec jednakową i sprawiedliwą podstawę do dalszego rozwoju? Czy w drobnej bodaj części zdoła usunąć przyczyny przemysłowej senności Galicyi, ucisku podatkowego i smutnych następstw z tego płynących?

Oto są pytania, na które nikt nie daje odpowiedzi, a wszyscy pragną rozwiązania, a wszystkim przyświeca tylko — nadzieja. Ha, wielka to siła moralna tkwi w owej nadziei, skoro jedni drugich pocieszają słowem: czekajmy.

Teraz te nadzieje znalazły sobie przeznaczeniowego — nieosobliwy wyraz — człowieka i powisły wszystkie na nim. Człowiekiem tym ma być hr. Kazimierz Badeni. Mąż ten okazał się na stanowisku namiestnika bardzo zdolnym, energicznym i świadomym celu. Bywał może za ostry i za samowładny, ale w takim chaosie, jak u nas, trochę stanowczości nie zawadzi. Drażni ona ludzi, ale przynosi niezaprzeczony pożytek. Na tak nierównomiernie dojrzałem i wykształconem społeczeństwie, jak tutejsze, trzeba nieraz stosować sposób postępowania do ludzi, z którymi ma się do czynienia. Inaczej się mówi z człowiekiem dojrzałym, a inaczej z dzieckiem, które nie rozumie niebezpieczeństwa, a jednak z uporem nieświadomości dąży do niego. Nie posiadał hr. Badeni daru zadowalania wszystkich, ale posiadał dar robienia dobrze i ślady tego pozostawił.

Ze zmianą stanowiska osobistego zmienił się bardzo, a raczej musi się zmienić punkt wyjścia całej pracy prezesa ministrów, a z tego punktu wysnuwa się cała jego działalność publiczna. Jak się przyszłość ułoży dla licznych ludów Austryi — trudno zgadywać.

Pozwolę sobie tutaj stanąć na punkcie historycznym, tj. tego rozwoju dziejowego, który szuka dla nowych prądów życia dróg nowych, lepszych. Cóż się dzieje w tym wypadku?

Czytelnicy *Prawdy* przypominają sobie zapewne, że pisząc o urzędniczem ministeryum Kilmansegga, wyraziłem obawę, ażeby ta forma rządzenia nie stała się prejudykatem na przyszłość, bo, jak powiada mój przyjaciel: albo jest konstytucya, albo jej niema. Konstytucya, sprowadzona do rządów przy pomocy większości, okazuje się teraz poprostu zabawką ludzi poważnych. Jeżeli nie pozwalacie mi zrobić tego a tego — to ja sam zrobię bez waszego pozwolenia — powiadał Bismarck ongi i powtarza to samo cesarz niemiecki. Jeżeli nie umiecie gospodarować porządnie — mówi Franciszek Józef do Rady miejskiej w Wiedniu — to ja naznaczam do zrobienia ładu swego urzędnika. Przyszedł urzędnik i zrobił, jak mu kazano. Jeżeli nie umiecie się rządzić — powiada Franciszek Józef do swoich ministrów — ani przy pomocy większości, ani koalicyi, ja poślę wam Kilmansegga, niech zaprowadzi porządek. I stało się, jak rzekł. A gdzież jest konstytucya? — zapytać może ciekawy czytelnik. A no... pojechała na spacer.

Teraz na czele ministrów staje hr. Kazimierz Badeni — i cóż on robi? Dla mnie większość nie istnieje — powiada on; — ja nie chcę ani koalicyi, ani większości parlamentarnej i opierać się w pracy mojej na nich nie będę, wybiorę sobie ministeryum po za obrębem parlamentu. I wybrał sobie ministrów wiernych i sprawnych. Są to urzędnicy albo ludzie oddani mu zupełnie. A cóż będzie z konstytucyą Austryi? A nic... „stoi stać.“

Prawda, że Austrya tworząc konstytucyę, popełniła błąd zasadniczy, bo dała jej podstawy klasowe. Teraz, kiedy nowe warstwy ludności do życia podnoszą głowy i upominają się o prawa, kiedy skutkiem swej klasowości, konstytucya wytwarza w państwie nie spokój, lecz ustawiczne walki wzajemne, człowiek, postawiony na czele państwa, łamie resztki konstytucyonalizmu, nic w zamian nie dając. Co z tego wszystkiego będzie? Nie umiem powiedzieć.

Dotychczas istniało we Lwowie „Towarzystwo dziennikarzy“ — nominalnie. Obecnie przystąpiło ono do zmiany statutów, które krępowały jego rozwój i zdaje się, że na lepszą wejdzie drogę, a przynajmniej coś robić zacznie. Celem jego ma być, prócz niesienia pomocy materyalnej członkom rzeczywistym oraz ich rodzinom, także bronienie interesów materyalnych i moralnych, jako też reprezentowanie tych interesów. Dotychczas dla urzeczywistnienia swoich zadań nic nie zrobiło, a w jaki sposób je spełni — o tem nic jeszcze nie wiemy. Pragniemy tylko gorąco, aby się to stało najrychlej, aby nietylko dziennikarstwo, lecz — śmiem powiedzieć — literatura potrafiły i miały odwagę bronić się od rozmaitych wyzyskiwaczów, przybierających na siebie tak chętnie pozory dobrodziejów literatury, chociaż są niekiedy jej niszczycielami.

Na posiedzeniu wydziału uchwalono też utworzenie syndykatu dla załatwiania sporów między dziennikarzami, mających swe źródło w stosunkach publicystycznych. Syndykat ów odegra piękną rolę, jeżeli potrafi usunąć z areny publicznej spory i walki osobiste, któremi prasa tutejsza zajmuje czytelników, z ujmą moralności dziennikarskiej, z nadwerężeniem jej powagi. Dla wzajemnych oszczerstw i krewkości trzeba przeznaczyć miejsce w sądzie rozjemczym albo państwowym, nie zaś wywlekać je ku zgorszeniu publicznemu na szpalty pism. Takie nawet zadanie będzie bardzo trudne do przeprowadzenia, zważywszy, że nie wszyscy dziennikarze do Towarzystwa należą, a wielu wcale należeć nie chce. Syndykat przeto, nawet wówczas, gdy do składu jego wybrani zostaną ludzie rzeczywiście poważni i szacunku godni, nie będzie miał doniosłego wpływu i znaczenia.

Jednem z najpilniejszych zadań przyszłego syndykatu będzie oczyszczenie literatury z grasujących na rozmaitych polach rabusiów cudzych myśli i cudzej pracy, którzy bezkarnie plądrują na niwie naszej krytyki i literatury. Taki lis literacki chodzi chyłkiem od jednego do drugiego i cichym głosem pyta: nad czem pan teraz pracuje? Wyegzaminowawszy niewinnego baranka, zabiera jego długoletnie nieraz plony i zanim ociągający się nowicyusz zdoła swoję pracę wykończyć, już „w jednem z poważnych pism stolicy“ zjawia się robota takiego rabusia, podpisana własnem imieniem. Czy się na to znajdzie kiedy skuteczna rada? Jeżeli Towarzystwo zdoła zabezpieczyć cichych pracowników od tego rodzaju grabieży, będzie to niezawodnie jego wielką zasługą.

Słówko o otwarciu roku szkolnego w uniwersytecie. Dr. Oswald Balzer, rektor, w obszernej mowie przedstawił niejako stan teraźniejszy uniwersytetu lwowskiego, zarówno pod względem materyalnym, jak i sił profesorskich. Zrobiwszy przegląd sił i pracy, przyznawszy postęp w rozmaitych kierunkach, doszedł do rezultatów pocieszających.

Nie będę na tym punkcie ani mu przeczył, ani z nim się godził, bo odeszlibyśmy może za daleko od uniwersytetu. Rok przeszły zaznaczył się jednak niezawodnie, w porównaniu z długim szeregiem lat poprzednich, dwoma wypadkami, godnymi uwagi: otwarto wydział medycyny i napisano *Historyę uniwersytetu lwowskiego.* Dzieło to, opracowane przez dr. Ludwika Finkla, udostępniło po raz pierwszy szerokim kołom czytelników i uczonych bogaty materyał do historyi szkolnictwa i nauki wogóle. Ogrom źródeł dziejowych, odnoszących się do powyższego zakresu, nie stracił bynajmniej na wartości przez wydanie historyi, przeciwnie, wartość tych źródeł została teraz dopiero oceniona należycie i powstała myśl uporządkowania ich, ażeby przyszłym historykom ułatwić pracę. Zadania tego podjął się dr. Finkel bezinteresownie i część archiwum, do r. 1848, w sposób umiejętny uporządkował. Chodzi teraz o to jedynie, ażeby badania, rozpoczęte tak pomyślnie i pożytecznie, prowadzić dalej, a to już zależy od stałej zapomogi, która na utrzymanie i prowadzenie archiwum przyznaną będzie.

Cho.

PAMIĘTNIK.

Do miłosierdzia.

Zwracamy uwagę czytelników naszych na pomieszczoną w dzisiejszym numerze *Prawdy* odezwę Towarzystwa opieki nad ubogiemi matkami, które znalazło się w potrzebie wezwania pomocy miłosierdzia publicznego. Rzecz doprawdy dziwna, my, ludzie bardzo serscowi, mamy w tej swojej naturze pewne nerwy nieczułe i to nieczułe na jedną z najcięższych niedoli losu ludzkiego. Wszelkie szpitale i przytułki, które za granicą ściągają ku sobie główną ofiarność ogółu, u nas są przez nią albo pomijane zupełnie, albo obdarowywane skąpo. Umierający filantrop zapisze zwykle hojne legaty dla kościoła, instytucyi naukowej, uczącej się młodzieży, dla jakiegoś wreszcie stowarzyszenia, ale o szpitalu zwykle zapomni lub rzuci mu drobną jałmużnę. Skąd to pochodzi? Prawdopodobnie stąd, że ogół nie zna dostatecznie ani użyteczności, ani ubóstwa tych zakładów, a nadto, że one są prawie nieme, to znaczy — nie mają rzeczników, którzyby je ciągle przypominali społeczeństwu. Gdyby schodzący z tego świata a pragnący mu pozostawić trwałą po sobie pamiątkę, zajrzeli do naszych szpitalów i przytułków; gdyby zobaczyli, jak w nich tysiące biedaków ratują swoje nędzne życie; gdyby przekonali się, jak do niesienia tej pomocy brak często najniezbędniejszych środków — kosztowniejszych pokarmów lub narzędzi — z pewnością niejedna ofiara, która popłynęła do nadmiaru, zwróciłaby się do tego niedostatku. Śród tych przybytków niedoli, cierpienia i słabych promyków szczęścia, wielkiej sympatyi i poparcia godnem jest „Towarzystwo opieki nad biednemi matkami i ich dziećmi." W tytule swoim ma ono wyrażone szlachetne zadanie: daje czasową opiekę ubogim położnicom i stara się o zabezpieczenie od nędzy, a nieraz i śmierci ich dzieci. I ta instytucya, która, zdaje się, powinna być podtrzymywana ze szczególną gorliwością, musi żebrać, ażeby ocalić swoje istnienie, a przynajmniej swoją działalność! Aż przykro o tem pisać.

Z dziejów totalizatora.

Wreszcie i wyścigi jesienne skończyły się prawdopodobnie dlatego, że nie starczyło dla nich słońca, zbyt wcześnie idącego w tej porze na spoczynek. O czwartej już zapada zmrok, a niepodobna zaczynać gonitw w południe, gdyż „gentlemeni," grający w talizatora, zajęci są jeszcze jako kelnerzy, posłańcy publiczni, terminatorowie rzemieślnicy, subjekci sklepowi, dyetaryusze biurowi, kantorowicze itp. Nad wieczorem są już oni albo zupełnie wolni albo mogą łatwiej uzyskać króciutki urlop. I tak, mimo wcześniejszego zabierania się do roboty w totalizatorze, tłumy wylewały się z Mokotowskiego pola już po zachodzie słońca, a widok tej gromady, brnącej w błocie, drżącej od zimna, dumnej zdobyciem lub przygnębionej stratą kilkunastu rubli, osiągniętych ofiarą niejednego obiadu lub zastawionego ubrania w lombardzie, był niezmiernie budujący. Patrząc na tych ludzi, którym w duszach płonie najgorętszy ogień, jaki ogrzewa obecnie masę społeczeństwa warszawskiego, czuliśmy niezmierny żal do leniwego słońca, któremu nie chce się świecić w jesieni kilka godzin dłużej. Bo gdyby ono zadało sobie ten mały trud, nie przerywalibyśmy wyścigów wcale, a wtedy jakżeby imponująco wyglądał bilans totalizatora! „Przerobiono-by" w tej ruletce przez rok nie setki tysięcy rubli, ale miliony — i to dzięki kelnerom, posłańcom publicznym, terminatorom itp.

Naturalnie, nie będziemy wypisywali tu ani imion czworonożnych zwycięzców, ani wysokości ich nagród, gdyż totalizator pochłonął nawet te dawniej głośno brzmiące sławy. Dziś Towarzystwu wyścigów konnych nie chodzi wcale ani o poprawę rasy koni w kraju, ani nawet — jak to wykazał zmarły hr. Krasiński — o wytworzenie znakomitych wyścigowców, osłabianych zbyt wczesnymi popisami, lecz o dochód z dwu domków gry na polu Mokotowskiem. Po za tą ideą nikną inne, mniejsze cele. Dlatego Towarzystwo, wbrew swemu pierwotnemu zadaniu i mimo posiadanych znacznych funduszów, nie chce urządzić wystawy inwentarza rolnego; dlatego nie chce ono rozpostrzeć swej działalności na prowincyę; dlatego żąda, ażeby wyścigi przeniesione zostały z Pławna do Łodzi, gdzie więcej jest pełnych kieszeni, mogących wypróżnić się w totalizatorze. Że prędzej, czy później, będzie ono musiało wrócić do porządku, tj. stać się znowu instytucyą hodowli, a nie gry hazardownej — to nie ulega wątpliwości, bo w państwie, którego prawa nie tolerują takich gier, nie może się długo utrzymać tak gorsząca. Tymczasem... tymczasem zapiszmy naszą chwałę. Korespondent włoski *Kuryera warszawskiego*, donosząc, że w Sycylii panuje szał loteryjny i że istnieją tam specyaliści, przepowiadający graczom z cyfr wyniki ciągnienia, zaznacza, że ci wróżbici nazwani są tam *polacchi*. Bismarck wysyłał polaków do Monaco, sycylijczycy przypisują polakom dar odgadywania wypadków loteryi... oj, zaczynamy być w pewnym kierunku za bardzo sławni, chociaż Europa jeszcze nic nie wie ani o naszem podbijaniu „Lilpopów," ani o warszawskim totalizatorze.

Po wystawie.

Zamknięte rachunki wystawy ogrodniczej wykazały niedobór: mianowicie wydano na urządzenie jej 13,500 rs., a osiągnięto dochodu tylko 7,386 rs. Niedobór ten wynikałby z konieczności rozebrania nowo wzniesionej hali dla kwiatów, którą Towarzystwo ma jeszcze nadzieję utrzymać i następnie wyzyskiwać na cele własne i cudze. Jakkolwiek ta strata jest dosyć wysoką i, gdyby była przewidziana, prawdopodobnie staranoby się jej uniknąć, nie należy uważać materyalnej ofiary Towarzystwa na rzecz wystawy za bezowocną. Przecież nie jest ono instytucyą spekulacyjną, lecz obywatelską, w interesie więc tej gałęzi produkcyi, którą wzięła pod swoją opiekę, musi nieraz poświęcić trochę grosza. A nikt zasadnie nie zaprzeczy, że wystawa ujawniła znaczny postęp naszego ogrodnictwa, że oświeciła zarówno producentów, jak ogół w wielu kierunkach, że była lekcyą poglądową i dostarczyła pożądanych wskazówek, z których kraj skorzysta. Na taki rezultat warto wydać parę tysięcy rubli, których nikt nie roztrwonił, nikt nie schował, ale które wsiąkły w pożytek społeczny.

Pisma dla szpitalów.

Z jakimże ciężkim trudem rodzą się u nas czyny, które wymagają tylko trochę dobrej woli i starań! Od lat wielu co czas pewien „poruszana" bywa myśl dostarczania chorym w szpitalach pism peryodycznych. O co tu chodzi? O to, ażeby redakcye zaofiarowały na ten cel po egzemplarzu, ażeby cukiernie, restauracye i inne zakłady publiczne oraz ludzie prywatni, jeśli nie zachowują przeczytanych wydawnictw, odsyłali je do jakiegoś wskazanego miejsca dla chorych. Doprawdy, aż wstyd, że do takiej drobnostki tak długo się zabieramy! Za granicą już dawno ją zrobiono i nikt przytem się nie spocił. Tę pokutniczą myśl znowu „poruszyła" *Medycyna*. No, może nareszcie przyszedł czas, że przestaniemy ją „poruszać" i zaczniemy wykonywać. Niech tylko pierwszy krok uczynią zarządy szpitali, ogłosiwszy wezwanie i urządziwszy odpowiednie skrzynki. Boć przecie ofiarodawcy muszą wiedzieć, czy pisma będą od nich przyjęte i gdzie mają być składane. Co do nas, gotowi jesteśmy każdemu szpitalowi, który posiada chorych, pragnących czytać pisma polskie, przesyłać po jednym egzemplarzu naszego tygodnika. Prawdopodobnie zrobią to również inne redakcye — więc cóż jeszcze pozostaje? Tylko zażądać.

Taryfy podmiejskie.

Kuryer codzienny, przytaczając szereg dowodów współzawodnictwa bryk żydowskich z drogami żelaznemi, którym pierwsze, dzięki mniejszej opłacie za przewóz, odbierają pasażerów i towary, żąda zniżenia taryf kolejowych na krótsze odległości. *Warsz. Dziennik*, przyznając w zasadzie słuszność temu żądaniu, zwraca jednak uwagę, że ruch osobowy nie stanowi źródła dochodu dróg żelaznych, przeciwnie, naraża je na straty, pokrywane zyskami na transportach towarowych, że więc pod tym względem bryczka zawsze zwycięży kolej. Nam się zdaje, że zachodzi tu jedno ważne nieporozumienie, mianowicie w pytaniu: co należy pojmować przez „krótkie odległości"? Według nas, tem mianem trzeba obejmować okolice miast wielkich, zakreślone krótszym lub dłuższym promieniem (zależnie od ich wielkości) i stanowiące niejako ich przydatki. Promień tych okolic Paryża może wynosić 100 kilometrów, a Warszawy — 40. Ponieważ zaś one dostarczają swym ogniskom w ciągłym przypływie najważniejszych artykułów życia i posiadają spotęgowany ruch osobowy, więc na tej przestrzeni taryfy kolejowe powinny być niskie. Rzeczywiście, opłaty pasażerów nie pokrywają kosztów drogi żelaznej, ale nie słyszeliśmy, ażeby ona traciła na małych dystansach około miast wielkich, do których przywozi i z których wywozi wagony osobowo zatłoczone. Nadto dodać trzeba, że niżka cena biletów wywołuje w pobliżu takich miast coraz nowe skupienia ludzi i rozmaitych przedsiębiorstw, a zatem coraz większy ruch pasażerski i towarowy. Weźmy przykład. Mleko, owoce, drób, cielęta itd. z miejscowości niedalekich dostawiane są do Warszawy końmi przeważnie dlatego, że żadna kolej nie urządziła dla tych produktów wygodnej i pospiesznej komunikacyi. Dopiero w roku bieżącym Terespolska zaprowadziła osobne wagony dla mleka. Gdyby oddalony jej dworzec miał dobre połączenie ze środkiem miasta za pomocą dworca centralnego, z pewnością wzdłuż tej linii rozwinęłyby się szybko krowiarnie i Warszawa otrzymywałaby mleko tanie. Toż samo stałoby się z owocami, drobiem itp. Przesyłka zaś tych produktów wymagałaby obecności ich właścicieli i dozorców, czyli więcej osób przyjeżdżałoby koleją. Oto są względy, zalecające zniżenie taryf podmiejskich, nie mówiąc już o innych, czasowych, jak np. letnie mieszkania, wycieczki itp.

Pogotowie ratunkowe.

Niedawno, pisząc o ochotniczej straży zdrowia za granicą, zaznaczyliśmy zupełną obojętność u nas tej sfery, któraby mogłaby taką, a przynajmniej podobną organizacyę wprowadzić w życie. Otóż z notatki *Kuryera warsz.* dowiadujemy się, że zmarły doktor Stummer szczerze pragnął stworzyć pogotowie ratunkowe w Warszawie. Opracował on szczegółowy program instytucyi, przeprowadził korespondencye z władzami i już podobno był bliskim urzeczywistnienia swych zabiegów. Rzecz dziwna, że o całej tej sprawie, która już przeszła wszystkie szczeble formalności, panuje tak skromne dotąd milczenie. Jeżeli prawda, że „grono osób, wtajemniczono w zacny zamiar Stummera, postano-

wiło sprawę tę podjąć i o ile można jaknajprędzej urzeczywistnić" — to przecież obecnie czas po temu jest najodpowiedniejszy, gdy wchodzimy w okres koncertów, rautów i wszelkich widowisk. Nasza dobroczynność jest bardzo cierpliwa, zacna i wyrozumiała, gdy do niej przychodzimy nie jako źle wychowani kwestarze, żądający wprost datku na dobro publiczne, lecz we frakach i białych rękawiczkach oprowadzamy ją, strojną w szaty balowe, po salach rzęsiście oświetlonych, pełnych woni, uśmiechów, kwiatów, melodyi i flirtu. Niechże to „grono" co prędzej wynajdzie nowe cacka do zabawy naszemu miłosierdziu, póki ono nie znudziło się dawnemi i nie zaczęło kaprysić.

„Erudycya" dziennikarza.

Jak dalece Warszawa umie być „miasteczkiem," zaglądającem w najbardziej drażliwe prywatne sprawy swych bliźnich, puszczającem obydne plotki i potwarze, o tem już przekonaliśmy się nieraz, ale do jakiego stopnia zaśniedziałych wsteczników mieści ona w swoich murach, mogliśmy się dowiedzieć dopiero przy niezwykłej sposobności — puszczeniu w obieg projektu tramwajów elektrycznych. Zaczęto o nich przebąkiwać jakby o rzeczy nieznanej, która dopiero pierwszy raz będzie zastosowana na próbę. Jedni zżymali plecami, inni twierdzili, że się telefony popsują; wreszcie wystąpił ze znamiennym wykładem dziennikarz w *Kuryerze porannym.* Dowodzi on, iż niespodziane zatrzymanie jednego wagonu kolei elektrycznej wstrzymuje odrazu ruch na całej linii i wszystkie tramwaje stoją w miejscach, gdzie ich zaskoczyła chwila wypadku; że każdy wagon wymaga oddzielnego przewodnika i że przy jednym drucie na całej linii znajdować się może jeden tylko wagon; że wreszcie pod górę tramwaje takie nie mogą chodzić bez przeszkód. Trudno chyba o więcej niedorzeczności w jednym artykule i większą odwagę wypowiadania ich w chwili, gdy cały świat cywilizowany stara się zamienić siłę koni na elektryczność w komunikacyi miejskiej. Tramwaje takie istnieją już od r. 1892 w Kijowie, gdzie niejednokrotnie mieliśmy sposobność korzystać z nich, jeździć pod bardzo wysoką górę z „Padołu" nietylko bez przeszkód, ale szybko i równo. Na jednej linii chodzi po kilkanaście wagonów i po trzy razem szczepionych. Jeden przewodnik nad szynami jest zupełnie wystarczający dla wielu tramwajów, a niespodziane zatrzymanie się któregokolwiek z nich bynajmniej nie paraliżuje ruchu innych. Dziś już w tem mieście prawie zupełnie usunięto komunikacyę konną i parową na szynach. Tramwaje elektryczne bardzo szybko rozwijają się w Ameryce i Europie zachodniej. Obecnie za oceanem istnieje już 20,000 wiorst linii miejskich, obsługiwanych tą siłą, w Europie zaś około 2,000. W Madrycie, Marsylii, Lionie, Hawrze, Medyolanie, Lubece, Dreznie, Wrocławiu, Lipsku, Halli, Lwowie, Budapeszcie wprowadzono ten system z wielkiem powodzeniem; Wiedeń, Berlin, Hamburg i inne wkrótce także urządzą tramwaje elektryczne. Wobec tego chyba nie powinno być żadnych sporów, ani wątpliwości co do pożytku i zalet owej komunikacyi. Tymczasem u nas znaleźli się tacy, których można wziąć za odkopanych i wskrzeszonych z tej epoki, kiedy to usiłowano niszczyć pierwsze parostatki, lokomotywy lub... parasole.

Wyniszczenie lasów.

Korespondent jednej z gazet rosyjskich bardzo smutny przedstawia obraz gospodarki leśnej w Królestwie Polskiem, i główną przyczynę złego upatruje w braku praw ochronnych tudzież rozwoju sieci kolei żelaznych. Sąsiedzi zagraniczni, pomimo że mają większe bogactwo drzewne, niż posiadacze tutejsi, oszczędzają jednak swoje zapasy, wiedząc, że ich wartość z rokiem każdym musi wzrastać. Przezorność godna wielkiego uznania. Przedsiębiorcy kupują budulec w miejscowościach pogranicznych po cenach nizkich i liczą, że po wycięciu lasów tutejszych ludność ogołocona zwróci się po ten sam materyał do nich i będzie go kupować po cenach kilkakroć większych, niż sama sprzedawała. Ciągły rozwój przemysłu fabrycznego i górniczego w Królestwie Polskiem pochłania także dużo bogactw leśnych. Jak zaś dalece to zapotrzebowanie wzrasta, świadczą cyfry następujące: w r. 1886 do Dąbrowy i Łodzi dostarczono koleją Dąbrowską 1,062,200 pudów drzewa, w r. 1894 do tych samych ognisk 4,033,700 pudów. Wywóz zagranicę także ciągle wzrastał; roku 1885 wynosił on 191,500 pud., r. 1892 doszedł do 1.922,700 pudów; następnie zaczyna spadać i w roku 1894 wynosi już tylko 578,800 pudów, co autor przypisuje znacznemu wyniszczeniu lasów. W miarę tego ubożenia zasobów natury wzrasta cena podkładów kolejowych. W r. 1894 droga Dąbrowska płaciła po 41¾ kop. za sztukę, a w r. 1895 już po 66 kop. Na taką cenę podpisano w r. 1893 kontrakt trzyletni, a gdy kolej zażądała jeszcze dodatkowo 25,000 podkładów na koniec roku bieżącego, dostawca podwyższył cenę do 80 kop. za sztukę. Tak więc gdy najlepsze gatunki drzewa idą za granicę, koleje tutejsze muszą się zadawalnić odpadkami po cenach niebywałych. W położeniu takiem znalazła się podobno i droga Wiedeńska, która zawarła kontrakt o dostawę podkładów z *berlińskiem* biurem leśnem! Zakupiło ono wprawdzie drzewo w guberniach zachodnich, ale ta okoliczność, że wedle umowy za punkt dostawy obrano stacyę Granicę, nasuwa korespondentowi przypuszczenie, iż do miejsca owego tylko z Austryi będzie dostarczany materyał, przez kolej zakupiony. „Chcąc zażegnać zupełnie bankructwo gospodarki leśnej w Królestwie Polskiem — mówi autor — ochronić koleje tutejsze a z niemi skarb państwa od nadmiernych wydatków w niedalekiej przyszłości na podkłady i inne materyały drzewne, należałoby niezwłocznie wydać zakaz wywozu drzewa kolejami za granicę. A gdyby to się sprzeciwiało układom i traktatom międzynarodowym, możnaby unormować odpowiednio taryfy kolejowe."

W DALI.

Lublin. Dnia 22 października r. b. w wydziale karnym sądu okręgowego lubelskiego, jak donosi *Gazeta* miejscowa, rozpoznawano sprawę 31 włościan ze wsi Rozkopaczewa w powiecie lubartowskim, oskarżonych o opór władzy. Dnia 21 listopada roku zeszłego przybył do tej wsi naczelnik straży ziemskiej, kapitan Fomienko dla ściągnięcia należnych 300 rs. na utrzymanie szkoły gminnej. Oznajmiwszy o celu swego przybycia, zażądał, aby włościanie dobrowolnie zapłacili powyższą sumę. Wówczas z gromady wystąpił Jędrzej Smyk i odezwał się: „Róbcie z nami, co chcecie, lecz my płacić nie będziemy i nie pozwolimy aresztować bydła." Kapitan rozkazał Smyka odprowadzić na bok, lecz włościanie nie dopuścili do tego, otoczywszy Fomienkę i jego pomocników w ten sposób, że ci nie mogli ruszyć się, przyczem jednemu ze strażników rozdarto mundur. W d. 6 marca do Rokopaczewa przyjechał wójt gminy Ludwin, Michał Sawicz, z tem samem żądaniem; powtórzył się znowu protest i opór. Włościanie odmówili stanowczo płacenia składki, tłomacząc się, że nigdy uchwały w tej sprawie nie podpisywali. Kiedy wójt chciał zająć krowę Pawłowi Szewczykowi, porwał on widły i, przeżegnawszy się, zawołał: „narobię ja tu mięsa!" W bójce wzięły udział także i kobiety wiejskie, skutkiem czego wójt nie mógł dokonać czynności. Oddani pod sąd włościanie do winy się nie przyznali. Sąd okręgowy skazał ich za pierwszy opór: jednego na 4 miesiące więzienia, 30 zaś na miesiąc aresztu, zwolniwszy ich od kary na zasadzie Manifestu Najwyższego. Za drugi opór na mocy art. 271 kod. karn. z liczby 6 włościan jednego skazano na 4 miesiące, pięciu na miesiąc aresztu. Obrońcy ich, adw. przys. Kostecki i Księżopolski, zakładają apelacyę.

Łowicz. Pierwszy jarmark w osadzie Łyszkowice, pow. łowickim, gub. warszawskiej, powiódł się bardzo dobrze, chociaż z powodu dużych dostaw, ceny były wogóle nizkie. Dostawiono 500 koni, inwentarza zaś domowego około 2,000 sztuk. Za konie płacono do rs. 500, za krowy do rs. 100, za byki do rs. 170, za skopy od rs. 2 do 5; za funt żywej wagi trzody chlewnej po kop. 7; za kwartę masła po kop. 45, za kopę jaj kop. 90 Kupcy z towarami bławatnymi, ubiorami i kożuchami, zjechali w znacznej liczbie i wszystko niemal wyprzedali. Miejscowe wyroby wełniane cieszyły się wielkim popytem. Zjazd kramarzy z okolic sąsiednich, a nawet z Warszawy, był bardzo znaczny. Twórcą tego ruchu był p. Popielawski, który udzielił placu bezpłatnie. Jarmarki w Łyszkowicach odbywać się będą sześć razy do roku (co dwa miesiące).

Odesa. Izba sądowa ogłosiła wyrok w sprawie majątku Poczepińce, gub. podolskiej, należącego do p. Korwin-Krasińskiej. Dobra te za długi właścicielki sprzedano na licytacyi p. Bachinowi, który przedstawił tylko świadectwo generał-gubernatora. Sąd okręgowy w Kamieńcu Podolskim zatwierdził licytacyę. Przeciwko temu właścicielka wniosła skargę do izby sądowej odeskiej, gdzie pełnomocnik jej dowodził, że Bachin nie miał prawa nabywać majątku, nie przedstawił bowiem świadectwa od ministeryum dóbr państwa, wedle zatwierdzonych Najwyżej przepisów z r. 1865. Pełnomocnik nabywcy dowodził przeciwnie, że do kupienia jakichkolwiek gruntów w kraju południowo-zachodnim wystarcza świadectwo generał-gubernatora. Izba skasowała postanowienie sądu okręgowego, zatwierdzające licytacyę.

Petersburg. *Nowosti* zapewniają, iż postanowiono pensye gubernatorów podwyższyć do 10,000 rs., a wice-gubernatorów do 5,000. — *Now. Wrem.* podaje niektóre szczegóły co do budowy pomnika Murawjewa w Wilnie. Wybór miejsca był roztrząsany w komitecie wileńskim r. 1893, przyczem przewagę otrzymał wniosek generała Ganeckiego: obranie placu cerkiewnego naprzeciwko soboru. Pomimo to, gazeta donosi, że roboty rozpoczęto na innem, miejscu, oddalonem od środka miasta, gdzie rzadko zdarzają się przechodnie. Gazeta nazywa wybór ten dziwnym i obrażającym dla patryotów rosyjskich.

SPRAWY EKONOMICZNE

GOSPODARSTWO ARTELOWE.

II.

Artele wogóle przedstawiają dziwną mieszaninę urządzeń. Pochodząc z ustroju rodowego, powstały wedle typu rodziny i do pewnego stopnia zachowały jej formę, raczej duch. Dziś, jakkolwiek są szczątkami spólnoty rodowej, zastosowały się nieco do bieżących potrzeb życia, w wielu szczegółach pozornie są jak gdyby urzeczywistnieniem marzeń niektórych ekonomistów, na drodze rozwoju powszechnego, a jednocześnie najlepszy dla siebie grunt znajdują tam, gdzie jest jeszcze kultura pierwotna. W ognisku pracy kapitalistycznej tracą swój charakter typowy i — racyę bytu, a nieraz w urządzeniach pośrednich — między

przemysłem wielkim a drobnym, dają pewną dogodność dla przedsiębiorców zamożnych — z własną stratą, gdyż wzajemna rękojmia jest wybornym środkiem, ułatwiającym wyzysk. Spotyka to artele niesamodzielne, uzależnione zaliczkami lub pożyczkami, nieposiadające kapitałów własnych. Takiemu losowi ulegają np. zjednoczeni holownicy statków, tworzący właściwie grupę najemną, skazaną na łaskę pośredników, do których przechodzi całą różnica między zapłatą umówioną z przedsiębiorcą a dawaną owym robotnikom. Przeważna liczba arteli znajduje się w takiem położeniu, tj. wszystkie t. zw. zależno i pół-zależne. Pierwsze — to właściwie są rzesze najemne, drugie — to stowarzyszenie wytwórczo-robotnicze, którego kapitał zakładowy wnosi przedsiębiorca, a obrotowy—uczestnicy związku. Oczywiście lwią część zysków pochłania przedsiębiorca, reszta zaś dzieli się równo pomiędzy pracownikami.

Takie zrzeszenia istnieją przeważnie na północy Rosyi europejskiej i w Syberyi. Ich kapitał zakładowy stanowi nietylko pieniądz, lecz i wszelkie przedmioty niezbędne do pracy, jak np. w artelach zjednoczonych dla połowu śledzi „karbas" (łódź specyalna) tudzież siecie należą do przedsiębiorcy, podział zaś owoców określa się ogólnem prawem płacy roboczej. Związki tego typu coraz bardziej zanikają, przechodzą w najliczniejsze — zależne, które posiadają tylko szatę dawną, w gruncie rzeczy są to rzesze robotnicze, karne, często dzielne, podlegające całkowicie dzisiejszym urządzeniom ekonomicznym, jako siła robotnicza. Niezależne tworzą grupę najmniejszą i najczęściej istnieją tam, gdzie ojciec Kapitał i matka Kultura nie mają jeszcze wstępu. W gub. archangielskiej są stowarzyszenia samodzielne smolarzy i dziegciarzy, których członkowie zarabiają po 135 rs. rocznie, gdy pracując pojedynczo, zaledwie po 25 rs. zarobić mogą. Niezależne są także artele rybackie, np. śledziarzy lub poławiaczy stokfiszów. Wogóle zaś związki te w organizacyi zewnętrznej, pomimo swych zasad pierwotnych, posiadają czasem urządzenia wprost zdumiewające, jak np. artele rotmanów (pilotów) archangielskich i dnieprzańskich — *kasy emerytalne*.. Jako siła najemna, solidarnie odpowiedzialna, artele są poszukiwane i wielce cenione przez różnych przedsiębiorców i zapewne w tej formie i takiej roli długo jeszcze przetrwają. Ale jako organizacya wytwórcza w dziale przemysłu drobnego, nie przyniesie ona pożytku swym członkom i nie będzie miała racyi bytu.

Inaczej trochę trzeba patrzeć na artele ludowe rolnicze. O ile nie są one zależne od wyzyskiwaczów pożyczkodawców, stanowią urządzenie poważne, dźwignię ekonomiczną. Prawda, że tu i owdzie nie udały się, jak np. w gub. permskiej. Ale należałoby zajrzeć głęboko do przyczyn owej nietrwałości. Inne atoli fakty wymownie świadczą o sile i pożytku tych zrzeszeń. W północno-wschodnich powiatach gub. wołogodzkiej zwykle cała wieś kosi wspólnie łąki i dzieli się następnie sianem, stosownie do liczby robotników. W gub. ołonieckiej trzy lub cztery spólnoty rodzinne łączą się razem dla osuszenia błot. Śród chłopów zabajkalskich niezależne artele rolnicze spotykać można bardzo często, chociaż niewielkie. Czasem jednak tworzą one ogromne spółki dla wyzyskania pewnego odłamu gospodarki. Np. przeszło 300 chłopów gminy toksińskiej gub. ołonieckiej zawiązało artel dla osuszenia błota. Praca trwała kilka lat, ale ze świetnym rezultatem. Nawet w „złym roku" chłopi sprzedają po 500,000 pudów siana. Gmina kosi łąki wspólnie, poczem dzieli produkt wedle liczby pracowników, nie wyłączając i chorych. Źródła, z których te szczegóły zaczerpnęliśmy, pochodzą z roku 1874, a więc nie wiemy, co się stało po 20 latach z ową spółką: czy urosła ona jeszcze bardziej, czy przestała istnieć? W każdym razie byłby niezmiernie ciekawe całkowito dzieje. Mniej więcej przed laty dwudziestu w Besarabii (pow. sorockim) powstało stowarzyszenie rolniczo chłopskie, zasadą zaś jego była wspólna uprawa ziemi i podział produktów stosownie do liczby robotników. Próba powiodła się świetnie: zbudowano spólną oborę i młyn, założono *szkołę*, kramik i — szynk (wbrew zasadzie artelowej, prześladującej alkoholizm. Ale może w tym wypadku zastrzeżono umiarkowanie?). Wreszcie utworzono kasę pożyczkową i zapłacono zaległości podatkowe. Również nie wiemy o dalszych losach tego zrzeszenia.

Oprócz arteli rolniczych, są znane w wielu miejscowościach państwa pokrewne — leśne, których celem jest umiejętna trzebież. Np. w gub. saratowskiej sześć wsi wspólnie wyzyskuje las, stanowiący ich własność ogólną. Budulec dzielą wedle potrzeby, a drzewo opałowe pomiędzy wszystkimi gospodarzami, na zasadach ścisłej równości. Stowarzyszenia takie istnieją w Rosyi północnej tudzież w gub. moskiewskiej, kurskiej, niżogrodzkiej i in. Wogóle na północy (w gub. archangielskiej) oprócz arteli rybackich są jeszcze myśliwskie, ale tworzone dorywczo, w miarę chwilowej potrzeby. O ile powstawały one na gruncie rolniczym, widzimy prawie wszędzie uprawianie jednego odłamu gospodarki, odpowiednio do warunków i potrzeb miejscowych, jak np. osuszanie bagnisk i następnie wspólne ich wyzyskiwanie w produkcyi siana, albo trzebież lasu. Wyjątkowo praca wspólna obejmuje kilka działów gospodarki wiejskiej, jak np. śród włościan sorockich w Besarabii.

Ten typ ostatni jest najbardziej zbliżony do obecnej organizacyi włościan w pow. aleksandrowskim gub. chersońskiej, która wszakże przedstawia już zjawisko wyjątkowe. Jest to spółka ekonomiczna, zmierzająca do rozwoju kultury, do wszelkich ulepszeń w gospodarstwie, rozszerzenia uprawy różnorodnych produktów, racyonalnego prowadzenia odrębnych gałęzi, jak chmielarstwo, ogrodnictwo, warzywnictwo, jedwabnictwo, a więc chodzi nietylko o stworzenie produkcyi wyłącznie dla siebie, wzorem dotychczasowych arteli, lecz także o rozwój przemysłu i handlu. Zakup nasion, narzędzi rolniczych, maszyn, reproduktorów, bydła rasowego, młocarni parowej założenie cegielni, młyna, świadczy o dążności do poziomu gospodarstw wielkich, prowadzonych przy znacznych środkach i nakładach. Przytem widzimy wyraźną chęć wyzwolenia się z wszelkiego pośrednictwa (osobny fundusz na sprowadzanie soli wprost z Krymu i hurtowy zakup niezbędnych przedmiotów dla użytku codziennego). Oczywiście zrzeszeni włościanie mogą mieć znaczne ustępstwa w cenach i liczyć na dobroć towaru, gdyż wystąpią jako zbiorowy spożywca w postaci kilku naraz arteli. Nawet charakterystyczne ujarzmienie tych związków przez kapitalistów prywatnych, wyzyskiwaczów, jest niemożliwe wobec tego, iż władza miejscowa stara się o wszelkie ulgi bankowe.

O artelach wypowiadano różne zdania, z niepowodzeń jednych wysnuwano smutne przepowiednie dla innych. Jakiś zaś sceptyk wprost powątpiewał o możliwości zastosowania wynalazków technicznych i udoskonaleń w takich stowarzyszeniach rolniczych, a nawet chociażby te przeszkody usunięto, to, zdaniem jego, może być wynik następujący: artel, złożona z 50 ciu osób, zaprowadza machinę, przy której 40 robotników wytwarza tyle, co uprzednio 50. Nie można zmniejszyć ilości godzin roboczych, bo cena towaru zniża się, ani zwolnić dziesięciu pracowników. Jeżeli zaś wszystko ma zostać, jak dawniej, to artel straci racyę bytu, gdyż celem jej było podniesienie zarobku. Trzeba więc rozszerzyć produkcyę, co doprowadzi do przesilenia.

Jest to zdanie zbyt jednostronne. Nie należy brać arteli w formie dawnej, jako pozostałość spólnoty rodowej. Dziś, jak widzimy z ruchu w powiecie aleksandrowskim, przekształca się ona coraz bardziej, według wymagań obecnych warunków ekonomicznych i z czasem może przejść w wielkie spółki włościańskie na roli. Ich forma, rozwój, powodzenie, siła lub upadek zależy od bardzo wielu czynników: warunków geograficznych, klimatycznych, bogactwa przyrody, rozwoju materyalnego, a nawet temperamentu mas ludności. Rozszerzenie produkcyi i jej wynik, przesilenie—to są zjawiska ogólne, których nie można wyłącznie przepowiadać spółkom włościańskim, dążącym do wyższej kultury. Dzisiejsze artele rolnicze w całem znaczeniu powstają śród bogatych, rozległych obszarów żyznej gleby, gdzie intenzywne gospodarstwo, wymagające wielkich wysiłków i nakładów, jest jeszcze zbyteczne. Tam powodzenie takich spółek możliwe, a mają one jeszcze tę wyższość nad zbiorowem skromnem przedsiębiorstwem ziemian ukształconych, że zużytkowywują wszelkie swoje własne siły robocze i że nie posiadają tych wielkich bezdennych potrzeb, wytworzonych przez cywilizacyę i pochłaniających więcej, niż mogą dać owoce produkcyi. W tej pierwotności ludu tkwi jego siła tem większa, że ma on skłonność do szybszego przyjmowania zdobyczy technicznych, niż plodów oświaty.

Śród ognisk wielkiego przemysłu fabrycznego takie spółki nie mogą mieć powodzenia, bo tam olbrzymia i wszechwładna produkcya, wsparta na kapitale, pochłania wszelki dzielniejszy żywioł ludności miejscowej i okolicznej. Takim właśnie warunkom podlegają masy włościańskie w wielu miejscowościach Królestwa Polskiego. Czy jednak możliwa byłaby u nas praca artelowa? System ten poraz pierwszy zastosowano w Warszawie r. 1891 przy prowadzeniu robót kanalizacyjnych; ale nie oto chodzi. Chcielibyśmy widzieć zrzeszoną pracę włościan na roli, oczywiście nie według dokładnych wzorów ustroju artelowego, lecz z pochwyceniem myśli przewodniej tej organizacyi i przystosowaniem do wymagań tudzież rozwoju ogólnego w chwili obecnej. Lud tutejszy zasadniczo różni się charakterem i temperamentem od wielko albo noworosyjskiego, przytem zupełnie ma inne podstawy ekonomiczne. Nie posiada w usposobieniu swem ani tej skłonności do zrzeszania się, ani rzutkości prawdziwie stepowej, nie rozporządza swojemi fabryczkami narzędzi rolniczych, ani też matka natura nie obdarzyła go bogactwem ziemi, a warunki bytu — jej znaczną ilością. Siedząc na piaskach lub gruntach lekkich, przy tem jako posiadacz drobnych działek, musi znacznie więcej energii i środków użyć po to, ażeby z jałowej ziemi wydobyć drobinę tego, co wydobywa np. chłop nad Wołgą, Donem lub Dnieprem.

W wielu miejscowościach Królestwa okolice są także żyzne, bogate, panuje wyższa kultura, niż gdzie indziej, ale gęstość zaludnienia stworzyła drobne działki, pokryjomu rozpadające się śród rodziny na cząsteczki wzbronione przez prawo. Ten bezustanny podział, owa dążność do gospodarstwa na własną rękę u wszystkich dorosłych członków rodziny płci męzkiej, jest znamienną cechą ludu naszego, która prowadzi do wychodźtwa, szukania zarobku w ogniskach fabrycznych lub Prusiech. Wraz z tem śród pozostałych słabnie energia; nasz chłop przedewszystkiem dąży do wytworzenia... kartofli. Dopóki ich nie zje, stroni od wszelkiej pracy zarobkowej, a potem bierze się do niej leniwie, jest sła-

ho produkcyjnym w stosunku prostym do środków pożywienia.

Niewiele okolic słynie z dobrobytu i pewnego zasobu energii włościan. Tak np. w Jadowie i okolicach gospodarują oni bardzo dobrze i podobno bogacą się szybko. Oprócz wzorowej uprawy roli, zajmują się hodowlą bydła, koni i trzody chlewnej w rozmiarach większych, niż gdzieindziej, a mają przytem dużo nawozu. Ponieważ zrobiło się im za ciasno na własnym zagonie, więc w ostatnich czasach biorą w dzierżawę kawałki gruntów dworskich, na niezwykłych warunkach: Ziemianie, nie mogąc z braku robotnika uprawiać całkowicie swej ziemi, chętnie ją oddają sąsiadom siermiężnym, częścią za gotówkę, częścią za robociznę. I to jednak nie wystarcza; znaczna liczba, szczególnie kobiet, emigruje do miasta po zarobek, częstokroć lichszy, niż dałaby ziemia przy organizacyi pracy zrzeszonej. Mogłaby ona znacznie wzmocnić ekonomicznie naszą ludność włościańską.

Jakiemi drogami należy ku temu dążyć i czy dałoby się to osiągnąć, kiedyś pomówimy obszerniej. Przedtem jednak, korzystając ze sposobności wystawy rolniczej, pojedziemy daleko przyjrzeć się środkom, siłom i metodom w produkcyi rolnej, ażeby sposobem porównawczym tem dokładniej wyświetlić wszelkie warunki i zjawiska w tej dziedzinie pracy.

Drogomir.

BRAK PIENIĘDZY I SPEKULACYA.

Gwałtowna zniżka papierów wartościowych w połowie ubiegłego miesiąca, wywołała na porządek dzienny sprawę spekulacyi, źródło podsycania namiętności ludzkich. Ostatni numer (41) *Wiestnika finansów*, rozpatruje tę kwestyę bardzo szczegółowo i rzuca jaskrawe światło na ową dziedzinę zjawisk ekonomicznych. Ze względu, że wchodzą tu czynniki, wpływające zgubnie na wielkie rzesze ludności z niższych warstw społecznych, warto uważniej się przyjrzeć tym sprawom w chwili obecnej. Bakteryami, wywołującemi niebezpieczną gorączkę śród tłumów, jest garść wytrawnych znawców, spekulantów giełdowych. Działają oni z całą pewnością zysków, podczas gdy lekkomyślne, łatwowierne masy, idąc za nimi na oślep, składają im dziesiątki i setki tysięcy rubli w ofierze. Oto dlaczego w bardzo krótkim czasie papiery wartościowe spadły trzykrotnie; szczególnie znaczna była zniżka 4 i 16 października. Świadomi rzeczy starają się te fakty wytłomaczyć brakiem pieniędzy, a stąd koniecznością sprzedaży walorów. Istotnie jesień, okres ożywionego handlu produktami rolnymi, wytwarza chwilowy brak gotówki w kasach bankowych, gdyż na wielkie zakupy przedsiębiorcy wycofują pieniądze. Ale w roku bieżącym ogólny urodzaj był gorszy, niż w przeszłym, przytem ceny są nizkie, co wpływa na powściągliwość w sprzedaży, przynajmniej śród wytwórców zasobnych, którym nie zależy na gotówce. Skutkiem tego i wywóz obecny nietylko nie dorównywa rozmiarom z odpowiedniej pory w roku zeszłym, ale nawet jest mniejszym, niż w miesiącach letnich. Z drugiej zaś strony rynek pieniężny zaopatrzono w gotówkę; z dawnych zapasów przeznaczono w obieg ruble srebrne, tudzież upoważniono instytucye odpowiednie do poruszenia monety złotej, spoczywającej w Banku państwa. Tym sposem rozwinięto w całej pełni pogotowie, mogące zapobiedz owemu brakowi.

Jeżeli zaś pomimo to daje się ów brak odczuwać, tak dalece, że aż trzeba było sprzedawać papiery wartościowe—należy, zdaniem organu ministeryalnego, szukać przyczyny nie w zapotrzebowaniu pieniędzy na istotnie cele handlowe, a po prostu w grze spekulacyjnej, która z wielką siłą rozwinęła się na giełdach jawnych i tajnych i szeroką falą pociągnęła za sobą tłumy nie tylko w stolicach, ale nawet o wiele bardziej na prowincyi. Weźmy przykłady: Akcye towarzystwa fabryki brańskiej w styczniu r. 1894 szacowane na 130 rs. podniosły się nagle w kilku skokach do 200, 300, 400, wreszcie w sierpniu r. b. do 550, poczem 16 października spadły znowu do 450 rs. Akcye fabryki putyłowskiej z 75 rs. w styczniu r. 1894 urosły do 180 i wyżej; 16 października r. b spadły do 130. Akcye przemysłu złotego, niedawno wypuszczone, zanim ukazały się na rynku, już rosły w cenie i znacznie przewyższyły wartość nominalną (100 rs.), wreszcie podskoczyły do 300, 400, 420 rs., a 16 października, chociaż spadły, stoją jednak na dość wysokim poziomie (400 rs.) Akcye główniejszych banków handlowych w Petersburgu również ogromnie idą w górę.

Oto tabliczka:

	1894		1895		
	15/1	13/8	14/1	13/8	16/10
Rosyjski dla handlu wewnętrznego . .	330	427	462	534	500
Petersb. dyskontowy i pożyczkowy . .	490	561	642	880	800
Międzynarodowy . .	498	562	659	725	680
Wołżańsko-Kamski handlowy	905	960	1010	1375	1270

Jak zaradzić złemu? — Daje się słyszeć żądanie nowej emisyi biletów kredytowych. Organ ministeryalny jednak nie uważa takiego kroku za właściwy. Brak pieniędzy — to rezultat unieruchomienia nad normalną potrzebę gotówki wolnej w towarach lub innym sposobem. Przy obrotach normalnych powyższe więzienie środków wymiany w ilościach ponad potrzebę, wywołuje podrożenie pieniędzy, a wślad za tem napływ złota ze stron, gdzie jest jego nadmiar; tym sposobem chwilowe trudności znikają. Tam wszakże, gdzie jest zamknięty obrót kredytowy, niema takiej elastyczności i we wszystkich podobnych wypadkach dotkliwie odczuwać się daje ciężar przesilenia. Nowa emisya, chociaż chwilowo przynosi ulgę pozorną, ale następnie napływ wielki gotowizny sprowadza niepożądane zjawisko, stopniowe podrożenie towarów itd. Jednocześnie przybywa obfity materyał dla spekulacyi, ażiotażu, środki wzbogacenia garstki sprytnych graczów. Nie należy zapominać o tem, że wycofanie z obiegu chwilowo wypuszczonych biletów kredytowych, przedstawia zwykle wiele trudności, czego najlepszym dowodem jest to, że dotychczas nie można było, z obawy gwałtownego wstrząśnienia, spalić papierów kredytowych, na pewien czas wypuszczonych, jako zabezpieczenie złotem 75 milionów rubli.

W takiem oświetleniu przedstawia całą tę sprawę organ ministeryalny. Liczne rzesze doradców, zalecających zasilenie rynków nowymi papierami kredytowymi, są podobne do tych lekarzy — powiada *Wiest. finans.* — którzy dają choremu truciznę w czasie paroksyzmu dla chwilowego ukojenia cierpień, po to, ażeby tylko pogorszyć chorobę. Środek przez owe głosy zalecany wywołałby nowe wstrząśnienie, dałby obfity materyał dla spekulacyi. Zdaniem organu powyższego, tylko wprowadzenie na rynki pieniędzy kruszcowych może zaradzić złemu. Ten środek wskazywali wszyscy dawni ministrowie skarbu i inni działacze o szerszym widnokręgu pojęć. „Z chwilą, gdy wprowadzono obroty złotem — mówi pismo urzędowe — gdy wypuszczono w obieg niezbędną ilość potrzebnego do celów handlu i przemysłu złota z zapasów, nagromadzonych w Banku państwa; gdy wobec przyzwyczajenia publiczności do znaków papierowych zezwolono na obieg kwitów depozytowych, wreszcie gdy puszczono w kurs, dla drobniejszych wypłat, dostateczną ilość monety srebrnej — na rynku znalazło się tyle pieniędzy, ile właśnie trzeba rzeczywiście, z tą jeszcze przewagą, że wycofanie znaków pieniężnych, gdy już zbyteczne, nie przedstawia żadnych trudności, bo złoto zawsze dąży z powrotem do kas, z chwilą, gdy potrzeby rynku pieniężnego w gotowiznie zaczną słabnąć."

Kurs biletów kredytowych stanął w latach ostatnich na takim stałym poziomie, że obecnie nawet przy obrotach towarowych z zagranicą, nie ma potrzeby kupna znaków papierowych na termin wykonania zobowiązań, co się praktykowało stale przedtem w celu zabezpieczenia przed możliwą zmianą kursu. Bezpośrednie obroty rosyjską monetą złotą, z utrwaleniem kursu na czas długi, jest dziełem najbliższej przyszłości. Wzmocnienie wiary w tę trwałość kursu i możność zamiany w każdej chwili na ruble kredytowego według skali zawczasu wiadomej, słowem zaufanie do zupełnego bezpieczeństwa obrotów złotem, da się łatwo zdobyć.

Takie oświetlenie i poglądy *Wiestnika finansów*, a więc właściwie samego ministeryum, zasługują na uwagę i są bardzo doniosłe, ze względu na źródło, z jakiego pochodzą.

O PRAWDĘ.

Odpowiedź panu Żywickiemu.

Artykuł mój „W obronie Londynu" nie podobał się panu Żywickiemu i zamiast objektywnej krytyki wywołał kilka osobistych zarzutów, które pragnę sprostować. Mniejsza o naukę „że *dobrzeby p. L. uczynił*" nie zabierając panu Ż. czasu swojemi spostrzeżeniami. Takie ryczałtowe (po warszawsku) potępienie stoi w sprzeczności z wyrażonem w dalszym ciągu przyznaniem, że wiele uwag moich jest słusznych. Gorszym jest zarzut *nieuważnego* czytania, tembardziej że owa nieuwaga nie jest udowodniona. Poświęcając ³/₄ mego czasu na *uważne* czytanie rzeczy trudniejszych, niż wrażenia z podróży, tak przywykłem do skupienia szczególnie, gdy chcę o tem, co czytam, później pisać, że odczuwam zarzut pana Ż. jako bardzo niesprawiedliwy; każdy bezstronny czytelnik przyzna, że artykuł pana Ż. nie tyczył się wielkich miast wogóle, tylko Londynu *jako wielkiego miasta*. Mnóstwo szczegółów wymienionych przez autora widocznie tylko do Londynu się stosuje. Drugi zarzut osobisty jest złośliwszy. Autor daje do zrozumienia czytelnikowi, że ja należę do ludzi mających w każdej chwili kilka tysięcy szylingów do rozporządzenia, co ma zabarwiać moje wrażenia odmiennym subjektywizmem. Wobec tego mogę tylko przytoczyć fakt dobrze znany śród kilkunastu ludzi, cieszących się powszechnem zaufaniem. W 1889-ym r. *jedynie dzięki pożyczce z kasy Mianowskiego*, był umożliwiony mój dłuższy pobyt w Londynie. Pożyczkę ową otrzymałem na zasadzie świadectwa o istotnej potrzebie ze strony dwu polskich uczonych, znających dobrze wszystkie moje osobiste i rodzinne warunki: Henryka Struvego i Jana Baudouin de Courtenay. Wtedy na swoje całkowite utrzymanie wydawałem nie całe dwadzieścia szylingów tygodniowo, co jeśli uwzględnić różnicę cen, odpowiada skali życia studentów warszawskich, utrzymujących się za kilkanaście rubli miesięcznie. Później, w 1893—94-ym roku, po spłaceniu długu powyższego, byłem rok w Londynie z rodziną. Ale i wtedy, jak dobrze wiedzą ci, co nas we Franklin Cottage blizko Crystal Palace odwiedzali *), daleko nam było do bogactwa. Wydatki o tyle przekraczały środki, które wówczas miałem do rozporządzenia, że znowu byłem zmuszony do zaciągnięcia długu i do przedwczesnego opuszczenia Londynu przed ukończeniem zamierzonych badań nad *Logiką* Platona.

*) Np. J. Korzeniowski, G. Ferrero, J. Kelly itd.

Więc nie ma racyi pan Ż. w swych osobistych zarzutach. A co się tyczy samej rzeczy, to wcale nie wyjaśnił, w czem błądzę, lub w czem go źle zrozumiałem. Pozostaję przy mojem twierdzeniu, że na poważnie myślącego człowieka, nawet gdy się nikogo w wielkiem mieście nie zna, Londyn nie powinienby działać *erotycznie* —chyba jeśli do erotyzmu zaliczymy najszlachetniejsze porywy miłości bliźniego, tak często w Londynie uwidoczniane i do naśladowania zachęcające.

Drozdowo pod Łomża.

W. Lutosławski.

Artykuł mój był poświęcony psychologii wielkiego miasta, powód zaś do tego dały moje wrażenia londyńskie. Rzecz była traktowana z punktu osób pewnej, ściśle określonej kategoryi — tych, „które świeżo przybyły, nie posiadają nikogo bliskiego w tym odmęcie istot ludzkich i utonęły w nim bez śladu.

Nie mogę powtarzać całości, zatrzymam się nad jednym urywkiem swoim, do którego p. Lutosławski powraca najczęściej.

„Przybywają ludzie (tj. ludzie wyłuszczonej kategoryi) do miasta z różnych krańców świata, pozostawiając za sobą rodzinę, przyjaciół, znajomych i wraz z tem wszystkiem szacunek dla hamulców społecznych, zwanych opinią publiczną. Tutaj w odmęcie życia miejskiego są pozostawieni samym sobie, nikt ich nie zna i zatem nikt nie trzyma na wodzy ich instynktów, prócz kodeksu karnego, który bywa bardzo elastycznym... Życie jest nudne, jałowe, wytwarza ogromną pustkę w duszy, a jednocześnie daje namiętnościom bezkarność obok możliwości użycia — wyrafinowanego, obliczonego na silne podrażnienie nerwów. W takich warunkach erotyzm napełnia całą naturę ludzką i przegryza wszystkie jej fibry. *Inni* znajdują odmienny narkotyk, zwykle nie więcej godziwy. *Nieliczni* rzucają się do pewnej idei: religijnej, społecznej. Ale wszędzie zbywa na *umiarkowaniu*, takiem, jakiem jest właśnie życie na *świeżem* powietrzu... Miasto pcha do pijaństwa: *jeden* upija się miłością i dochodzi do najohydniejszego rozpasania, *inny* zaprząta swój umysł ideą religijną i zostaje w obłędnem dewoctwie, *jeszcze inny* przejmuje się polityką albo nauką. Natura ludzka, wykolejona z normalnych ścieżyn użycia, mści się, bo wszystkie siły organizmu pcha *w pewnym szczególnym* kierunku."

W niniejszej odpowiedzi pana L. cały ten ustęp wyszedł w dziwnem oświetleniu, mianowicie jako twierdzenie, że „na *poważnie* myślącego człowieka, nawet gdy nikogo w wielkiem mieście nie zna, Londyn nie powinienby działać *erotycznie.*" Zdanie w moim artykule, jedyne, które uprawnia p. L. do poruszenia tej kwestyi, brzmi tak odmiennie, że mimowoli muszę zawołać: gdzie Krym, gdzie Rzym!

W nr. 38 *Prawdy* p. L. pisał zaś z tego powodu co następuje: „Wniosek: w takich warunkach erotyzm napełnia całą naturę ludzką, jest nadzwyczaj subjektywny. Wręcz przeciwnie: w Londynie na każdym kroku widać tylko świadectwo wytrwałej pracy ludzkiej; łatwo całkiem zapomnieć o tem, iż obok tej pracy istnieć może lubieżna bezczynność. Że istnieje, o tem świadczy głównie szczere oburzenie, jakie ona budzi wśród anglików. Gdyby nie publicyści angielscy, małoby Europa wiedziała o owych szalonych niby namiętnościach pewnej bardzo nielicznej grupy w stolicy świata. A jeszcze mniej uzasadniony jest zarzut, jakoby w Londynie owe nadużycia były *bezkarne.* Wszędzie zdarza się czasem, że zbrodnia pozostaje bez kary — jednak nigdzie tak rzadko, jak w Londynie. Proszę czytać w *Times*'ie sprawozdania ze spraw, toczących się w różnych trybunałach, proszę poznać dokładnie *całą* historyę wszystkich owych londyńskich skandalów, a łatwo każdy się przekona, jak często i jak surowo odstąpienie od zasad moralności bywa karane. Niedawno proces Wildego był tego żywym dowodem. Popularny (?) i oklaskiwany autor za zboczenie moralne, dosyć łagodnie kiedyś ganione w Atenach przez Platona, w Londynie dostał się do więzienia, skazany został na ciężkie roboty, odrazu stracił popularność i poważanie. Sądy przysięgłych nieubłaganie surowo są dla niewiernych mężów i kłamliwych uwodzicieli. Regularne czytanie „Law Reports" w *Times*'ie (można je prenumerować oddzielnie za 25 szyll. rocznie) prawdopodobnie wyleczyłoby każdego paryżanina, przybyłego do Londynu, z owego niezdrowego erotyzmu, na który pan Ż. się skarży."

Na to odpowiem: 1) Dlaczego p. L. przenosi punkt ciężkości w moich rozmyślaniach? Mówię o nieumiarkowanem użyciu *w porównaniu* ze wsią i *jednostronnem* zaspokajaniu różnych pociągów. Pan L. dostrzegł zaś tylko jedno z pośród nich — miłość. 2) Powoływanie się na Times'a nie dowodzi, ażeby na prowincyi angielskiej pewne czyny nie były częściej karane, niż w Londynie, o co głównie mi chodzi. Wzmianki zaś tego dziennika na pewno nie dotyczą lub rzadko się stosują do skandalów, gdzie bohaterem jest bogaty anglik, ofiarą — jedna z córek ludu. 3) Sądy przysięgłych są wszędzie surowe dla uwodzicieli.

Tak wygląda pewna część mojego artykułu i odpowiednie ustępy odpowiedzi p. L. Na zakończenie dodam, że byłem bardzo daleki od zarzutów osobistych. Napisałem tylko, że wrażenia każdego są kategoryą natury społecznej, zależną od otoczenia, w którem żyje, i środków, którymi rozporządza. Był tam jeden zarzut, który zatrzymam — nieuważnego czytania.

K. R. Żywicki.

KRONIKA

Sprawy społeczne. Ogłoszono ustawę Towarzystwa dobroczynności czesko-słowackiego w Warszawie, pod nazwą „Beseda."

— Dzienniki petersburskie zapewniają, że zjednoczenie Finlandyi z Cesarstwem nastąpi nie wcześniej, aż w r. 1905.

— Z Warszawy piszą do *Now. Wrem.* o zapadłem postanowieniu utworzenia gubernii chełmskiej. Są dwa zdania: jedno żąda oddzielenia, drugie pozostawienia jej w obrębie Królestwa Polskiego.

Mianowania. P. Goremykin objął ster ministeryum spraw wewnętrznych. *Now. Wrem.* powiada, że przeszedł on poważną szkołę i wzniósł się na wyższe stopnie jako niestrudzony pracownik, który zdobył sobie sławę wielkiej prawości i niezachwianych przekonań. Jako prawnik, wolny jest od jednostronności. *Birż. Wied.* zaznaczają jego dokładną znajomość spraw ludu, której początkiem była służba w charakterze komisarza do spraw włościańskich w Królestwie Polskiem r. 1864.

— Dotychczasowy minister spraw wewnętrznych, Durnowo, zajął stanowisko prezesa komitetu ministrów.

Szkoły. W II gimnazyum żeńskiem w Warszawie podwyższono opłatę wpisową dla klasy wstępnej do 30 rs., a dla wyższych do 60 rs. rocznie.

— Ministeryum oświaty zatwierdziło stypendyum nowe imienia Maryi Dziekońskiej dla dwu uczniów średnich zakładów naukowych w obrębie okręgu naukowego warszawskiego, z procentów od sumy rs. 10,000, przeznaczonej na ten cel przez pp. Albina i Maryana Dziekońskich, obywateli ziemskich gub. grodzieńskiej. Pierwszeństwo mają kandydaci imienia Kiernożyckich i Dziekońskich lub, w braku ich, inni, urodzeni w gub. grodzieńskiej albo Królestwie Polskiem, wyznania katolickiego, z tym warunkiem, ażeby po ukończeniu kursów otrzymaną zapomogę na kształcenie, w miarę możności, całkowicie lub częściowo zwracali na powiększenie funduszów stypendyal-[illegible]

— Były nauczyciel gimnazyum, Świecimski, otrzymał pozwolenie na otwarcie w Warszawie niższej szkoły technicznej.

— W Mitawie otwarto gimnazyum żeńskie, pierwsze w gub. kurlandzkiej.

Zdrowie publiczne. Lekarz potrzebny jest w osadzie Suchocin, pow. płońskim.

— Otwarto w Warszawie nowy zakład leczniczy dla chorób gardła, krtani i nosa, przy ul. Brackiej. Są pokoje dla chorych stałych tudzież osobne pomieszczenie dla zakaźnych.

— Urzędowo ogłoszono, iż gub. podolska zupełnie już jest wolna od cholery.

Koleje i komunikacye. Poczyniono starania o wybudowanie następnych kolei podjazdowych: od przystanku kolei Południowo-Zachodnich, Rudnica, do fabryk cukru berszadzkiej i ustyńskiej, z odnogą do cukrowni czeczelińskiej i mohilańskiej; od stacyi Jurkówki do Jampola, od Szepetówki do Starokonstantynowa z odnogą do Zasławia i fabryki cukru klimowieckiej i od Żytomierza do Owrucza.

— Z przejściem kolei żelaznych Południowo-Zachodnich do skarbu, zwrócono uwagę na wysokość wynagrodzenia urzędników i służby przyczem sprawdzono, że otrzymują oni daleko większą pensyę, niż służba na innych skarbowych kolejach żelaznych. Z tego powodu polecono ograniczenie płacy wszystkim, nie wyłączając służby pociągowej i na linii, do sumy pobieranej zazwyczaj na kolejach skarbowych. (*Graż-*[illegible]).

— Ministeryum skarbu w krótce rozpatrywać będzie projekt budowy kolei żelaznej od Teodozyi na Krymie, połączonej odnogą przez stacyę, Dżankoj z koleją Łozowsko-Sewastopolską), do miasta Kerczu nad cieśniną, oddzielającą morze Azowskie od Czarnego. Nowa droga zapewnia umorzenie kapitału w ciągu lat dziesięciu i 5% zysków od akcyi, w okolicach bowiem Kerczu istnieją pokłady rudy metalowej, której eksploatacya jeszcze bardziej przez to się podniesie. Teodozya, jak wiadomo, po zamknięciu portu sewastopolskiego dla okrętów, stała się jedynym portem handlowym, odpowiednio urządzonym na Krymie, Sewastopol zaś został wojennym zamiast Mikołajowa, niezbyt dostępnego i zamkniętego przez fortecę oczakowską.

— Kolej żelazna pomiędzy Ostrołęką a Piławą ukończona będzie w grudniu roku 1896; dotąd wykonano już $^{3}/_{4}$ wszystkich robót ziemnych. Najwięcej czasu zajmie budowa mostu na Bugu.

Wynalazki. P. Prószyński obmyślił przyrząd do składania gazet ze znaczną oszczędnością czasu i rąk.

— Starszy mechanik telegrafu kolei Dąbrowskiej, p. Józef Suzin, wynalazł aparat telegraficzny, działający przy pomocy bateryi o dwu elementach na dalekich przestrzeniach. Próby urządzono pomiędzy Bzinem a Strzemieszycami, wkrótce zaś odbędą się one między Warszawą a Petersburgiem.

Wypadki. We Włoszech i Bułgaryi powodzie poczyniły znaczne spustoszenia.

— Dnia 22 października pociąg, idący z Wersalu, skutkiem zepsutych hamulców, wpadł na stacyę w Montparnasse, przebił ścianę dworca, dostał się do sali głównej, stamtąd, skruszywszy wszelkie przeszkody, stoczył się na plac. Ani służba, ani pasażerowie, ciężkich ran nie otrzymali; poniosła śmierć tylko jedna kobieta, sprzedająca na placu gazety. Winę przypisują niedbalstwu urzędu kolejowego.

Zmarli. Antoni Gustaw Droz, pisarz francuski, w Paryżu. Utwór jego, *Monsieur, Madame et Bébé*, doczekał się przeszło stu wydań.

ODEZWA.

Głównym zasiłkiem Towarzystwa opieki nad biednemi matkami i ich dziećmi, jest dochód z corocznie urządzonego balu, który w przecięciu przynosi rocznie około 4,000 rubli. W roku bieżącym bal urządzonym być nie mógł, to też wobec tak poważnego braku w dochodach, środki Instytucyi naszej wyczerpały się w zupełności—i jeżeli ofiarność publiczna nie przyjdzie z pomocą, zarząd Towarzystwa będzie zmuszonym zamknąć przynajmniej do 1 stycznia roku przyszłego zakład położniczy, inaczej bowiem nie mógłby spełnić zobowiązań przyjętych względem osób, u których pomieszczono są dzieci na wsi. Liczba takich dzieci wynosi obecnie 209. O pożytecznej działalności naszej instytucyi przekonają Szanowną Redakcyę następujące cyfry: od czasu otwarcia zakładu t. j. od dnia 23 lipca 1885 r. czyli przez lat dziesięć liczba urodzonych u nas dzieci wynosi 2,138, w czem dzieci ślubnych 1,268, a dzieci nieślubnych 870. Że chore otoczone są należytą opieką, a zakład pod względem hygienicznym prowadzonym jest wzorowo, dowodzi fakt, że na te 2,138 porodów, wciągu całych lat dziesięciu zmarły w zakładzie tylko 2, wyraźnie dwie matki.

Przez ten okres dziesięcioletni, Towarzystwo oddało na opiekę i wychowanie na wieś 659 matek które same ich wychowywać nie mogły bądź to z powodu stanu zdrowia, bądź to z powodu zajęć dających im sposób do życia, niepozwalających, by miały przy sobie drobiazg. Dzieci w ten sposób na wieś oddane, zostają do lat siedmiu (termin zakreślony w ustawie Towarzystwa) pod rzeczywistą opieką Towarzystwa, która na miejscu wykonywaną jest przez korespondentów zwykle proboszczów, lub korespondentki Towarzystwa. Takich dzieci na wsi umieszczonych, któremi się obecnie Towarzystwo opiekuje, jest 209. Nadto Towarzystwo dopomaga miesięcznemi datkami na mleko i t. p. potrzeby tym matkom, które dzieci przy sobie wychowywać mogą, lecz których zarobki są tak małe, iż utrzymać dziecka bez pomocy pieniężnej nie są w stanie. I nad temi matkami i ich dziećmi Towarzystwo rozciąga kontrolę, odwiedzając je przez delegowanych członków Towarzystwa peryodycznie, tak żeby opieka była rzeczywistą.

Skojarzeniem małżeństw, a to dla naprawienia krzywdy wyrządzonej matce a dania ojca dziecku, zajmuje się Towarzystwo. I tak w roku 1894 zawarto w zakładzie 11 małżeństw.

Dla wypełnienia tych celów potrzebne są fundusze. Potrzeba ta zwiększa się z każdym rokiem, gdyż co roku przybywa pewna liczba dzieci, których utrzymanie na wsi, wyłącznie na ciężar Towarzystwa spada. I tak w roku założenia Towarzystwa t. j. 1885, wydatki ogólne wyniosły rs. 8,755 k. 19½ (utrzymanie dzieci rs. 2,575 k. 17), w roku zaś 1894 dosięgły już cyfry 14,212 rs. 18 k. (utrzymanie dzieci rs. 7,377).

Towarzystwo nasze założonem zostało, by położyć tamę dzieciobójstwom, oddawaniu dzieci na garnuszek, co—jak to wykazały głośne w swoim czasie sprawy kryminalne—równa się dzieciobójstwu i przyjęto zasadę, że każda matka niezamężna korzystająca z usług zakładu, musi w nim pozostawać przez cztery tygodnie, karmić i opiekować się swem dzieckiem. To karmienie własną piersią i zajęcie się dzieckiem wyradza przywiązanie i miłość macierzyńską do dziecka. Nie było też wypadku, by taka matka wyszedłszy po czterech tygodniach pobytu w zakładzie, dziecko swe porzuciła, oddała na garnuszek lub zabiła.

Fakt ten przemawia za użytecznością naszej instytucyi, która w tym kierunku wiele, bardzo wiele zdziałać by mogła, gdyby rozporządzała większymi funduszami. Te potrzebne fundusze dostarczyć jest obowiązkiem publiczności, a dla bardzo wielu obowiązkiem sumienia. Niech każdy złoży swój datek, bogaty większy, ubogi—mały, a ileż dzieci wyrwiemy śmierci, ileż wyrodnych matek uszlachetnimy, ucząc je miłości macierzyńskiej do własnego dziecka.

Towarzystwo nasze nie narzuca się publiczności ani prasie, do niniejszej odezwy zmuszone jest stanem kasy, spowodowanym ubytkiem dochodu z balu, który nie mógł być urządzonym w roku bieżącym. Żeby ci nasi dobroczyńcy, którzy rokrocznie płacą za bilet na bal, chcieli swoją doroczną ofiarę złożyć obecnie, moglibyśmy zakład otworzyć—a zgłaszających się matek jest tyle!

Prezesowa Rady Opiekuńczej
Julia z Potockich Branicka.
Vice-Prezes Rady Opiekuńczej
A. Moldenhawer.
Prezes Komitetu gospodarczego
Wiktor Sołtan.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 19 Октября 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, ul. Mazowiecka, Nr. 8.